

SPRAWA

DWUTYGODNIK POLSKIEGO INSTYTUTU: "MIECZ DUCHA"

ADRES REDAKCJI: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1

Telefon: MAY 2928

Rok 3 Nr. 20 i 21

NIEDZIELA, GRUDZIEŃ 24, 1944

Cena 1 sh.

PAPIEŻ PIUS XII DO POLAKÓW

(PIETNASTEGO LISTOPADA 1944r.)

UKOCHANI SYNOWIE I GÓRKI Polski! Znaćcie dostatecznie Nasze ojcowskie serce, aby zrozumieć Nasze uczucia w chwili gdy was tu przyjmujemy. Wiecie dobrze, że wasze cierpienia i troski są również Naszymi cierpieniami i troskami. O jakież wielkie są te cierpienia i troski. Rosły one w ciągu ostatnich kilku lat, a w ostatnich miesiącach a szczególnie w ostatnich tygodniach osiągnęły rozmiary rzadko spotykane w historii państw i ludów. Przyciągają one dzisiaj uwagę całego świata ku waszemu rodzinnemu krajowi. A ta uwaga skupia się szczególnie na Warszawie, tym mieście heroicznym, tak bogatym w ciągu swych dziejów w szlachetne czyny, a tak tragicznym w swych cierpieniach nie do opisania. Każdy ktokolwiek zachował w sercu choćby najslabszą iskierkę sprawiedliwości i ludzkości, musi być ogłuszony i przyniesiony słysząc lub czytając o losach jego. To co się o Warszawie opowiada zaledwo pozwala na przeczenie straszliwej rzeczywistości.

Warszawa! Miasto jaśniejące urokiem kultury, której ulegali nawet cudzoziemcy! Warszawa! Miasto zamienione przez jego własnych obywateli w pieńcień ognia, którego płomień nie tylko pożerały walczących, ale odcinając i izolując kobiety i dzieci od świata zmusiły je do przejścia urągających opisowi mąk fizycznych i moralnych! Koło płomienia? Nie! retorta, w której złoto najwyższej próby zostało oczyszczone i uszlachetnione. Jakkolwiek odczuwamy najgłębsze współczucie na widok tych cierpień nie do zniesienia, to jednak jeszcze głębiej odczuwamy podziw skłaniający do niskiego pochylecia głowy przed heroizmem zarówno tych, co walkę przeżyli jak tych, co w niej padli. Wykazali oni światu na jakie wyżyny wnieść się może bohaterstwo zrodzone i żywione najszlachetniejszym uczuciem honoru i najmocniejszym przekonaniem do wiary chrześcijańskiej.

Zaledwo kilka tygodni temu, w sali Błogosławieństw Wasi oficerowie poruszeni impulsem synowskiej miłości i gorliwości religijnej prosili o specjalną łaskę, udzieloną im z głębi Naszego serca, o przywilej noszenia na swej piersi znaku tronu, na którym zasiada Chrystus, Król narodów i Książę pokoju. Był to gest wzruszający, symbol Bogu widoczny tych głębokich uczuć panujących w duszach nie tylko tych kilku ludzi, ale także całego narodu. Możemy słusznie dodać, że był to gest, który wymownie symbolizuje niewidzialne wartości.

Cała ludzkość, której Chrystus jest Głową, rzeczywisty dobrobyt narodów, których Chrystus jest Królem, trwałość pokoju, którego jest Twórcą i Księciem opierają się jako na nienaruszalnych fundamentach na sprawiedliwości i poszanowaniu praw, szczególnie tych, którzy są słabi. Kiedy świat odnajdzie znowu siebie samego po tym młyńcu szaleństwa, kiedy nienawiść i okrucieństwo w nim przemina, a rozważając z przerażeniem rozmiar swej klęski zacznie odzyskiwać równowagę, wtedy uzna — będzie musiał uznać — udział Polski w dziele ocalenia. Oto dlaczego hymn Naszej niezachwianej nadziei miesza się z Naszymi łzami współczucia i z porywem Naszego podziwu. Ramiona, które z dumą i radością niosą Krzyż Chrystusowy i które podpierają tron Zbawiciela, te ramiona mogą być zaiste torturowane, ale nie ugną się pod ciężarem przeciwności. Najdzielniejszy z dzielnych może zginąć — *visi sunt oculis insipientium mori* — (w oczach głupców wydają się umarłymi); lecz w rzeczywistości wszyscy co giną w łasce i pokoju Pana są najświetniejszymi ze zwycięzców. I gdy patrzymy w górę, w chwałę Pana to zdajemy się widzieć, jak te ofiary, drogie

Panu, poświęcone, aby mógł nastąpić pokój, ci bohaterowie których wy tu na ziemi oplakujecie, w czym się z wami łączymy, jak oni tam jednoczą swe modły ze wstawiennictwem wszystkich waszych świętych: biskupa Stanisława (Szczepanowskiego), Jana Kantego, Jacka (Odrowąża), Andrzeja Boboli, niezrównanego męczennika, Józefata (Kuncewicza), apostoła Unii.

A jakżebyśmy mogli w dniu tak bliskim jego święta nie wspomnieć ze szczególnym uczuciem drugiego Stanisława, anielskiego Kostki, wiernego świętemu, przymierzu z ukochaną Ojczyzną, którego tak sławnie dotrzymał. Wymieńmy tylko parę wypadków: Do niego to zwrócił się król Zygmunt III w swych obawach w czasie wojny z niewiernymi. On to prosił o sprowadzenie głowy św. Stanisława z Rzymu i — zważcie — kiedy ta cenna relikwia przekraczała granice Polski, jako nagrodę swej ufności odniósł król pierwsze zwycięstwo pod Chocimem. Albo weźcie twierdzę Przemysł, która otoczona ze wszystkich stron straciła już wszelką ludzką nadzieję. Wzięta ona imię św. Stanisława za swój okrzyk bitewny i z wołaniem: "Niech będzie pochwalony Stanisław Kostka" obrońcy kruszą obcegi mające ich zadusić. Lublin i Lwów miały następnie zebrać żniwo cudownych skutków wiary w św. Stanisława. Przed jego obrazem w Lublinie straż trzymał król Jan Kazimierz a zwycięstwo pod Beresteczkiem nagrodziło jego modły. Mężny Sobieski czczył błogosławionego młodzieńca jako patrona

swych wojsk i jego wstawiennictwu przypisywał drugie zwycięstwo pod Chocimem. Przez te zwycięstwa niebo zamianowało owocem owego przymierza. Tak więc papież Klemens X celowo łamiąc zasadę Stolicy Apostolskiej, by jedynie kanonizowanych świętych ustanawiać patronami oficjalnymi i liturgicznymi narodów, uroczyście proklamował błogosławionego Stanisława Kostkę urzędowym i liturgicznym patronem Polski. Breve: Ex juncto, 10-go stycznia 1674.

Te dowody szczególnej i potężnej protekcji świętego młodzieńca podtrzymują wasze mężne dusze wśród straszliwych wypadków, przez które przechodzi wasza ukochana Ojczyzna. Tak to my rozumiemy dlaczego serce wasze nie upadają mimo ciężkich i długich prób, na które was wystawia niezbadana wola Opatrzności. Wasza nadzieja zrodzona z tyłu modłów, tyłu walk i tyłu krwi mężnie przelanych pozostaje na zawsze jasną. Z równym jak kiedykolwiek zapalem możecie śpiewać dziś dźwięczny hymn: "Jeszcze Polska nie zginęła." Albowiem królowa wasza, Najświętsza Panna z Częstochowy czuwa nad waszym królestwem tam z góry, z nieba. Za Jej pośrednictwem Bóg otrze łzy z waszych oczu i udzieli wam Swych obfitych łask w nagrodę tyłu cierpień.

Jako najpierwszą z tych łask udzielamy wam naszego Apostolskiego Błogosławieństwa: wam wszystkim, waszym najbliższym i najdroższym i wszystkim waszym braciom, i rodakom, których tu reprezentujecie.

W DZIEŃ BOŻEGO NARODZENIA

TYSIĄC LAT MINIE NIEDŁUGO OD chwili, kiedy w tę noc grudniową na ziemi polskiej po raz pierwszy narodził się Jezus Chrystus i rodzi się tak co rok, ku największej radości i nadziei ludu.

Wigilia Bożego Narodzenia to w Polsce radosne święto dzieci i wszystkiego co drobne, nieznaczne i społecznie słabe. Pastuszkowie pierwsi witali Zbawiciela albowiem:

"... wybrał Bóg głupstwa świata, aby zawstydził mądrych, i słabych świata Bóg wybrał, aby zawstydził mocnych (List św. Pawła pierwszy do Kor. I, 27.)"

Kult dziecięcia i matki, wiara, że wątłe i delikatne stworzenia przewyciężają dużą przemoc przyrody, przemawiały od zamierzonych czasów do ludów, nawet pogańskich. Wszakże Lao-tse powiedział gdzieś:

"Wątłe i nikłe jest ciałko narodzonego dziecięcia lecz sztywne i twarde jest trup człowieka,"

ale nigdzie w świecie tak jak w Polsce kult Boga-dziecinny i Matki Jego nie był potężnym źródłem siły i wytrwania.

Wszakże na piersiach rycerzy polskich zawisały złoczone ryngafy Madonny z dziećciem. Z ich czci rozdził się Grunwald, Chocim i Wiedeń. "Bogu Rodzica Dziewica" była przez wieki pieśnią wojową Polaków.

Wigilia roku 1944 jest jedną z najsmutniejszych w dziejach naszego narodu. W iluż to polskich domach na stole wigilijnym zjawiają się puste nakrycia w oczekiwaniu przyścia tych najbliższych i najdroższych, o których nie wiemy, czy żyją jeszcze czy też już zginęli w więzieniach niemieckich, w kopalniach i lasach

Sybiru. Wydaje się, że dymy pożarów, opary krwi niewinnej i mroki obojętności ludzkiej nad ziemią polską są tak gęste, że niewielu zobaczy gwiazdę Betleemską niosącą dobrą nowinę.

Wielu z nas zwątpi i twierdzić będzie, że w tym roku "Bóg się rodzi," ale żadne "złe moce nie truchleją," że "trzej królowie jadą z hukiem i paradą" nie aby złożyć hołd Bogu-dziecinie, ale by pokłonić się przed Herodem w jego ociekającym krwią niewinną zamczysku i jemu złożyć bezcenne dary. Blisko będzie, jakże wielu z nas, ostatecznego i bezpowrotnego grzechu zwątpienia w moc Ducha.

☆☆☆

A jednak Bracia nawet w najcięższych chwilach ani przodkowie nasi, ani my nie składaliśmy oręża. Przechodziliśmy już chwile równie ciężkie. Oto na polach Maciejowic leży ranny Kościuszko, a Suworow wyrzyna Pragę. Oto resztki legionistów Dąbrowskiego giną na San Domingo. Oto Paskiewicz bierze szturm Pragę po raz drugi. Oto w lasach litewskich giną ostatki z powstania 1863. Oto przyjaciółka nasza Francja zdeptana przez Bismarka. Oto ostatnio Francja kapituluje i patrzymy własnymi oczami na bezbronność tych wysp, ostatniej już w Europie ostoi wolności.

Czyż zwątpiliśmy wtenczas? Dlaczego mamy wątpliść dzisiaj? Jakkolwiek obojętności pokrył Polskę synowie jej walczą z tą samą co zawsze niezłomnością. Próbuje się obedrzeć Polaków z ich praw, ale żołnierze polscy, lotnicy i marynarze chodzą w słońcu sławny oręż. Ich czynów nikomu nie uda się ukryć, sfalszować i umniejszyć.

☆☆☆



A. Kossowski pinxit

WŁADYSŁAW SYROKOMLA

POLSKIE RORATY

"Rorate coeli! górne niebios,
Niech z was wytrysnie zbawienna rosa,
Z górnych obłoków na ziemskie niwy
Niechaj się spuści mąż sprawiedliwy.
Niechaj się ziemska otworzy bryła,
Swojego Zbawcę by porodziła!"
Tak z Izajaszem ród ludzi woła,
Takim brzmień hymnem mury kościoła,
Kiedy nadchodzi kres wielkich godzin,
Dzień uroczysty Boskich Narodzin...
Kiedy na wschodniej niebiosów stronie
Nieznaną gwiazdą wkrótce zaplonie,
Gdy stara przeszłość czeka w pokorze,
Kiedy ją wezwą na Sąd Boże...

O, wiaro święta, Chrystusa wiaro!
Ty przodków cnotę budziłaś starą,
Bo ci przodkowie, ci nasi starzy,
Brali hart ducha od Twych ołtarzy...
Bo swoje sprawy o każdej chwili
Bogiem poczęli, Bogiem kończyli.
Siedem cnot ducha człowiek posiadał,
A kraj ze siedmiu stanów się składał,
A w każdym stanie ziemica cała
Szczególną cnotę wygłowowała,
Bo o dar cnoty, ziomkom przydatny,
Błagała Boga we mszy porannej,
A gdy swe wota przed Panem złoży
Gotowa była iść na Sąd Boży.

Od Bolesława, Łokietka, Leszka,
Gdy jeszcze w Polsce Duch Pański mieszka,
Stał na ołtarzu przed mszą roraty,
Siedmioramienny lichtarz bogaty,
A stany państwa szły do ołtarza,
A każdy jedną świeczkę rozżarza:
Król, który berłem potężnym włada,
Prymas — najpierwsza senatu rada,
Senator świecki — opiekun prawa,
Szlachcic, co królów Polsce nadawa,
Żołnierz, co broni swoich współbraci,
Kupiec, co handlem ziomków bogaci,
Chłopek, co z pola, ze krwi i z roli
Dla reeszy braci chleb ich mozoli —
Każy na świeczkę grosz swój przylży
I każdy gotów iść na Sąd Boży.

Cóż my biedni i słabi przy naszych biurkach redakcyjnych uczynić możemy, aby Was pocieszyć w tym dniu, w którym cieszyliśmy się przez tysiąc lat przepelnieniem radością "wszelkiego stworzenia." Wszakże nie zapelnimy pustki stworzonej przez nieobecność najdroższych. Wszakże wobec postępującego dzień za dniem potopu złego nie możemy Wam dać żadnej gwarancji zwycięstwa prawa nad siłą!

☆☆☆

Gdybyśmy mogli, to jak te wiejskie urwisze przebralibyśmy się za Kolenników: jeden za wola, drugi za kozę, jeden za anioła, a drugi za diabła, trzech Królów i Heroda i z wielką gwiazdą na dragu, poszlibyśmy od jednego polskiego domu do drugiego — po Kolendzie.

Niech nikt obcy nie widzi rozpacz w naszych twarzach. Niech staną zadziwieni, że w tych najcięższych chwilach nie odstąpiliśmy od zwyczajów przodków, zwyczajów naszej ziemi, która wśród najcięższej zimy wierzy w nadejście wiosny i każe się głośno radować.

☆☆☆

A więc mimo wszystko dzień Wigilii musi być u nas, jak był przez tysiąc blisko

lat, dniem radości i nadziei. Bóg, Który posiał w sercach młodych Polaków tyle niezłomnego męstwa nie może dopuścić, aby ziarno to nie wydało plonu zwycięstwa. Nie było może w dziejach chwili tak groźnej dla cywilizacji chrześcijańskiej jak obecna. Nieprzyjaciel objął mackami świat cały. Czytajcie ino wiadomości z Chin, Persji, Grecji, Jugosławii, Włoch, Francji i Belgii. Atoli im większa walka, tym większa cześć, dla tych, którzy ani na chwilę nie schodzą z linii prawej i wytrwają do końca, tym większa zastuga tych wszystkich maluczkich, którzy już widzą prawdę, na którą ślepi są wielcy.

☆☆☆

A więc idziemy do was wszystkich z dobrą nowiną: "Chrystus się rodzi." Rodzi się znowu z dawną mocą w sercach ludów i tym razem rodzi się nie w Betleem, ale u nas na ziemi polskiej i przez pastuszków polskich budzi sumienie świata. "Aniolowie się radują, pod niebiosy wysławiają," Michał Archanioł trąbi do walki, której nie zaprzestaniemy, aż "Na drgającym szatanie ciele zakniemy sztandar zwycięzki Twój."

EVYN THOMAS

POLSKIE BOŻE NARODZENIE

JESIEŃ JEST JEDNĄ Z NAJLEPSZYCH pór roku w Polsce, świetnie słoneczna jakkolwiek chłodna. Pod koniec, zwiastując nadejście zimy bywa krótki okres deszczy, ale to się wyjaśnia w grudniu z opadem pierwszego śniegu kiedy zimna pogoda naprawdę nastaje.

W połowie tego miesiąca pierwsze znaki kolorowego polskiego Bożego Narodzenia zjawiają się w miastach w postaci długich szeregów skrzypiących i trzeszczących wozów, kopiasto naładowanych zielonymi drzewkami sosny lub świerku.

Włóścianki i włóścianki z twarzami jeszcze na brązowo opalonymi od słońca i wiatru po tygodniach pracy na roli w lecie ustawiają drzewka na otwartych placach, na chodnikach i dookoła podwórzy na tyłach wielkich bloków kamienic.

Miasto przyjmuje wnet wygląd małego lasu świerkowego, a widok ten przypomina wszem w okół, że czas najwyższy przygotować się na święta.

Każdy, stary czy młody, uważa wybór i kupno drzewka za jedno z najbardziej interesujących wydarzeń sezonu. Jestto poważna transakcja i każde drzewko jest sumiennie badane. Cała rodzina rozprawia i rozważa wysokość, gęstość gałęzi, zieleni i prawdopodobieństwo kiedy zielone szpilki zaczną opadać. Czasami trzy dni ubiegnie zanim odpowiednie drzewko zostanie odkryte.

Otuleni w futra albo baranice sprzedawcy przystępują wśród swego towaru sortując go wedle wielkości i wychwalając przechodniom. Jodły są najbardziej popularne a ceny niskie, od 4d. za trzy-stopową do 4/6 za osiem do dziesięciu stóp wysoką.

Niewiele drzewek, które nie zostały sprzedane do Wilii stanowią przedmiot wielkiej troski polskich dzieci, którym sprawia przykrość myśl, że te drzewka pozostaną przez święta samotne i zapomniane na jakichś podwórkach a tyle rodzin pozostanie bez tego źródła tradycyjnej radości. Nie należy się jednak zbyt zbytnio troskać. Ludzie ze wsi wiedzą na podstawie doświadczenia lat ubiegłych na jaki zbyt mogą liczyć, a tę resztę, co zostanie, rozdadzą najbiedniejszym za darmo zanim zmierzchną wigilijny zapadnie.

* * *

Jak we wszystkich krajach chrześcijańskich w tygodniu przed świętami szlepy mają dużo roboty. W każdym oknie wystawiono najlepszy i najbardziej pokaźny towar. W sztuce tej Polacy celują. Ważne transakcje zakupu podarków trwają aż do samego zmierzchu Wilji, poczem wszystkie sklepy zamyka się na jeden lub dwa dni.

Komunikacja, z wyjątkiem pociągów kolejowych ustaje o 7 mej wieczorem. Każdy więc spieszy się, aby wrócić do domu zanim ostatni tramwaj lub autobus zjedzie do garażu, aby pozostać tam do drugiego dnia świąt, który w Polsce nie jest już świętem oficjalnym.

Wilja jest w Polsce ważniejsza od samego dnia Bożego Narodzenia i jakkolwiek w dniu tym spożywa się na obiad indyka (18 funtowy kosztował około 8 sh.) to jednak ważna jest kolacja 24go. Nie je się w dniu tym obiadu, chyba kilka sandwiczów.

Wcześniej wieczorem, po skończeniu pracy, pokój zamknięty na klucz, a mieszczący drzewko, zostaje przez ojca rodziny otwarty i wszyscy domownicy włączając służbę są proszeni do wejścia i odebrania podarków. Większe podarki są ułożone na stole a podarki dla dzieci ułożone pod drzewkiem, na którym jarzą się rzęsiście zapalone świeczki.

Ojciec jest obdarowany najpierw, potem wszyscy kolejną starszeństwa na najmłodszej albo ostatnio w domowej służbie kończąc. Następnie każdy otrzymuje talerz pełen owoców i orzechów z życzeniem "Wesołych świąt."

Piękne ozdoby tak popularne u Anglosasów nie są używane na polskich drzew-

kach. Natomiast ubiera się je przy pomocy błyszczącej pozłoty, wieloramiennych gwiazd i łańcuchów z kolorowego papieru (przygotowywanych przez córki domu) i kawałków wały bawełnianej naśladowanej śnieg. Ogólne wrażenie jest niesłychanie artystyczne i rodzice spędzają wiele godzin na strojeniu drzewka, zanim całość uzna się za doskonałą.

Iluminacja odbywa się przeważnie przy pomocy świeczek, jakkolwiek małe lampki elektryczne już są wprowadzane. Wiesz się także na zielonych gałązkach owoce i czekoladki, aby potem obdarzać nimi młodych gości.

* * *

Wilja jest sprawą tradycyjną i dzięki wpływowi katolicyzmu jest postną. Główne potrawy stanowią ryby smażone lub gotowane przykrywane tartą krajanych jaj gotowanych na twardo i ze słodkiej potrawy składającej się z orzechów lub gotowanej przynicy zmieszanej z nasieniem maku, zaprawionej mlekiem i podawanej na zimno. Nawet najbiedniejsza rodzina, którą nie stać na ryby, jada w tym dniu tę dziwną potrawę z ziarek maku.

W niektórych domach wypieka się ciasto drożdżowe na dwie stopy długie a zawierające 60 jaj, lecz tyle drobnych dań jest zazwyczaj na polskich stołach, że to

ciasto podaje się zwyczajnie na drugi dzień dopiero.

Raz przy pomocy kucharza, próbowałem zrobić prawdziwy angielski pudding, ale nie wypadł on tak, jak było oczekiwane i przyjaciele moi byli za grzeczni, aby powiedzieć mi to, co o nim sobie musieli myśleć. Brak niektórych istotnych składników odbierał tym próbom nadzieję godnego uznania i w następnych latach uznałem za właściwsze sprowadzić mój "plum pudding" z Anglii.

Prawie całe gotowanie świąteczne robi się a góry tak, aby każdy w święta mógł odpocząć. Jeżeli jest służba w domu to daje jej się jeden lub dwa wolne dni. W niektórych okolicach kraju służba siada w tym dniu do jednego stołu z panem i panią domu na pamiątkę faktu, który postawił wszystkich ludzi na jednym poziomie społecznym.

Polska jest wielkim krajem rolniczym i to znajduje wyraz we wszystkich wiejskich domach przez umieszczenie snopków pszenicy po rogach izby, co ma zapewnić obfite zbiory na rok następny.

Na pamiątkę stajenki Betleemskiej pod obrus kładzie się siano i ubiera się go zielenią i jemiolą. Natomiast jemiola nigdy nie jest używana jako środek uprawniający do skradzenia całusa. Ten radosny zwyczaj mogłby zostać wprowadzony do Polski.

M. D'ANDRIA

BOŻE NARODZENIE W YORKSHIRE

POSTĘP CYWILIZACJI, KTÓRA wzbogaca świat w wielu kierunkach, powoduje jednak nieszczyśliwie zanik małowartościwych tradycji i zwyczajów, które dodawały w przeszłości codziennemu życiu wiele różnorodności i interesującej treści. Tradycje te sięgają wstecz ku początkom każdego narodu i są formowane przez szczególne cechy umysłowości i fizyczne otoczenie ludów. Im starszy naród tym bardziej różnorodnym jest jego folklor, a Polska ze swoimi dziesięcioma wiekami historii zwraca uwagę bogactwem dziwnych zwyczajów i starożytnych wierzeń.

Anglia również jest niezwykle bogata w stare zwyczaje i legendy, tak bogata, że zaledwie mały ich zbiór pomieści się w tym artykule. Wydaje się najlepszym ograniczyć się do zwyczajów, które jeszcze obowiązują, lub przynajmniej istniały do ostatnich czasów, a przestrzegane są w Yorkshire.

Yorkshire jest największym hrabstwem Anglii i chwali się tem że posiada tyle aków ile jest słów w Biblii. Z dumą twierdzi, że mieści najkrótszą rzekę w Anglii, najwyższy wodospad i to miejsce, gdzie król Artur przechowywał się w godzinach największego niebezpieczeństwa Anglii do czasów, gdy mógł powrócić na jej tron. Ponad wszystko Yorkshire posiada wielkie obszary pustych wrzosowisk, siedem wielkich "dale" (lekkie wznoszące się płaszczyna kredowe, pokryte drobną trawą) wchodzących w samotne grupy pagórków Penninckich i odosobnione wioski będące skarbnicami tradycji. Wielu ludzi z dworów widziało rusalki tańczące na trawie, albo doznało pomocy w robocie domowej od gнома w czerwonym kapturku.

Wśród moich najdawniejszych wspomnień kominkowi rozmiarów, należało go miejsce po błyszczącym drzewku świątecznym zajmuje polano Yule, które się rozniecało w wilię Bożego Narodzenia. Był to kawałek pnia drzewnego odpowiednich kominkowi rozmiarów, należało go zapalić w czas odpowiedni t.j. właśnie przed kolacją albo bezpośrednio po zapadnięciu zmroku. Moja stara niania

mawiała mi, że gdybyśmy zapalili je wcześniej to przyniosoby nieszczęście, a również gdyby ogień zgasł i musiał być zapalony po raz wtóry, co także jest złym omenem. Z uwagi na to pilnowałem polana bardzo starannie i jeszcze, gdy przychodził czas pójścia do łóżka musiano mnie zapewnić, że pali się w porządku. Nie pamiętam, czy zapalaliśmy świece Bożego Narodzenia. Miejscowy sklepikarz składał jako podarek swoim stałym odbiorcom dwie takie świece w jaskrawo pomalowanym pudełku. W dniu wili zapalał je pan domu albo najmłodsza córka od kawałka świecy zachowywanej dla tego celu od poprzedniego Bożego Narodzenia. Ten kawałek świecy należało zapalić od płonącego polana świątecznego i niczego innego nie wolno było zapalać od niego, bo to mogło przynieść straszliwe nieszczęście, takie same nieszczęście jak wogóle jakiekolwiek dawanie, lub przyjmowanie ognia w dniu Bożego Narodzenia. Baczność palacze! Czasami kawał polana Bożego Narodzenia zachowywano pod łóżkiem do następnego Bożego Narodzenia, kiedy to wkładane go pod nowe polano i najpierw zapalano. Wierzono, że taki kawał polana zabezpiecza dom od pożaru.

Kiedy już polano i świece jasno się paliły rodzina zbierała się dookoła kominka i opowiadało sobie historie o duchach n.p. o białym koniu, który wyłania się z wartkich wód Strid'u w pobliżu opactwa Bolton. Później zaś opowiadało historie o Barguest'ie "gościu karczmy" ducha-pse który zjawiał się w przysiółku pod Cracoe (Yorkshire bowiem ma również swój Kraków). Pogodniejsza historia mówiła o małym świątełku, które przeprowadza podróżnego pomiędzy wrzosowiskami i śmiertelnymi bagnami, gdy mgła okrywa pola. Gdy już dość było tych opowieści, rodzina zasiadała do jednej z tych żywych gier w karty, które nas rozweselały w czasach przed rozpowszechnieniem się bridge'a, ale musiało się użyć nowej talii kart.

Wtedy nastawał czas placka świątecznego, który wypiekano z mąki na kwasie, rodzynków, pożyczek, skórki cytrynowej i gałki muszkatołowej. Jadało się także

Po dostatecznym nadziwieniu się podarkom rodzina odśpiewuje kolendy, a ogólne ożywienie i rozradowanie objawia się bogatym żniwem opowieści i wspomnień świąt przeżytych.

Istnieje w Polsce powszechny przesąd, że do Wilji powinna siadać parzysta ilość osób, w przeciwnym wypadku kogos z uczestników spotka rychła śmierć.

* * *

Zaraz po północy idzie się na mszę, pierwszą po Narodzeniu Chrystusa. Wnętrze kościoła jest jasno oświetlone i przyozdobione gałęzmi jodły i świerka. Święta kołyska okryta najprzedniejszym białym jedwabiem, umieszczona na wzniesieniu jest z czcią pozdrawiana przez nabożnych wiernych. Skoro tylko zegar uderzył godzinę, wszystkie dzwony zaczynają swe radosne głoszenie dobrej nowiny, którą wszyscy obchodziny w dzień Bożego Narodzenia. Chór dostaje sygnał rozpoczęcia hymnów dzieł czyniących i napełniają one świątynię.

Po powrocie z kościoła stawia się znowu potrawy na stole dla tych którzy zgłodnieli albo są jeszcze zbyt podnieceni, aby iść na spoczynek, ale jestto tylko swobodne zebranie, je się stojąc lub chodząc z talerzykami w ręku po pokoju.

Święta na wsi mają więcej uroku, gdyż wizyta do kościoła albo do przyjaciół oznacza jazdę sankami w miękkim

świecie księżycy. Jest to bardzo wzruszające tak ślizgać się szybko po zmarzniętym śniegu w ciepłej i wygodzie wśród masy futer i koców żarząc się od radości przy wesołym dźwięku dzwonek na saniach.

Po wsiach kolendnicy obnoszą miniaturową stajenkę oświetloną świeczkami i nazywaną "szopka," a we wschodniej Polsce prowadzą z sobą również barany lub kozy.

W większości wsi urządza się przedstawienia zwane "Jasełkami." Sceny z życia Chrystusa są wyobrażane plastycznie a przedstawienie trwa około trzech godzin na skutek długich przerw. Moje pierwsze zapoznanie się z tym teatrem nastąpiło zaraz po moim przybyciu do tego kraju i nie mogłem go ocenić z braku znajomości języka.

Przy późniejszych okazjach skonstatowałem że jakkolwiek wykonanie, co naturalne, było amatorskie to jednak aktorzy oddawali dobrze swój zapal religijny.

Polskie Boże Narodzenie jest w swej istocie świętem rodzinnym, lecz w ostatnich latach rozpowszechniał się coraz więcej wyjazd na południe w góry, gdzie sporty zimowe stanowią wielką atrakcję, a scenerja atmosferę zgodną z tym, jak sobie wyobrażamy, że Święta Bożego narodzenia powinny wyglądać.

Oprócz tego byli także inni kolendnicy nazywani "Mummers" poprzebierani w fantastyczne stroje. Obok śpiewu często przedstawiali sztuki oparte na tematach biblijnych. Wierzono, że jeżeli pierwsza taka grupa zostanie odesłana bez podarunków to całe szczęście na przyszły rok przepadło. W niektórych domach cały garnek zacierki był w pogotowiu, a kolendnicy zanurzali weń swe kubki.

Jak w reszcie Anglii pokoje były ozdobione zielenią, w szczególności ostrokrzewem, a jeśli to tylko możliwe gałązką jemioli. W dawnych czasach przy utrudnieniach w transporcie wiele małych wsi i miasteczek nie mogło dostać jemioli. W tym wypadku w zastępstwie wieszano mały krzew nazwany krzewem całusów, który dawał te same przywileje co jemiola tak, że ludzie nie byli pozbawieni niewinnej przyjemności pocałunku.

Najważniejszym gościem w dniu Bożego Narodzenia był niewątpliwie "szczęśny ptak" męczyzna albo chłopiec, który pierwszy przyszedł do domu w odwiedzinach. We West Riding takim szczęśnym ptakiem musiał być brunet, podczas gdy w East Riding powinien on być blondynem. Było uważane za zły omen jeżeli pierwsza odwiedzająca osoba miała rude włosy, ponieważ istnieje tradycja, że Judasz był rudy. Za jeszcze niepomyślniejsze było uważane jeżeli pierwszą osobą odwiedzającą była kobieta lub dziewczyna. Aby przeto uniknąć niepotrzebnego ryzyka układano z góry, kto ma być szczęśnym ptakiem. We wschodnim Riding szczęśny ptak przynosił gałązkę ostrokrzewu i otrzymywał 6 pensów, plackę i wino. Gdy odszedł wszyscy członkowie rodziny wychodzili z domu niemcy, nawet rąk nie wolno było myć, i wnosili w dom gałąź ostrokrzewu.

Te notatki o zwyczajach Bożego Narodzenia kończymy praktyczną wskazówką nie z Yorkshire lecz z Cornwall. Jeżeli na wilię ktoś wyniesie srebrną monetę z domu, ukryje ją, a w dniu Bożego Narodzenia przyniesie ją z powrotem, będzie mieć pieniądze przez cały rok.

Byczajem Yorkshire pochodzącym z czasów przed Reformacją było obnoszenie skrzyneczek Milly to oznaczało Matkę Boską. Skrzyneczki te zawierały: pomarańczę, jabłko, korzenie, cukier, gałązkę ostrokrzewu i lalkę, przedstawiającą Madonnę z Dzieciątkiem. Dzieci i stare kobiety obnoszą te skrzynki od domu do domu i śpiewają:

Błogosław Boże pana domu,
A także naszą panią
I wszystkie małe, piękne dziecka,
Co w whole stoła ganią.

WIKTOR STAN

DUCH REFORMY

I. UWAGI WSTĘPNE

"L'humanité n'est pas faite pour habiter les ruines."—Saint Simon.

"RELIGIA JEST ZBIOROWĄ WOLĄ życia." Jest przytem nietylko podstawową więzią społeczną, ale i jedyną formą zdolną do manifestowania syntezy wszystkich przejawów życia, a więc najwyższym ideałem społecznym. Do takich to sformułowań doszła filozofia społeczna we Francji po stu latach badań, analizy i refleksji.

W istocie. Wszystkie akty religijne, zarówno akty wiary jak i rytuału krystalizują się i manifestują przede wszystkim w formach życia zbiorowego.

W najbardziej nawet prymitywnych kultach fetyszów można już odnaleźć pierwiociny walki o życie, nie wyłącznie w sensie materialnym, ale raczej jako walkę lub przymierze z fetyszem dla ochrony wszystkiego co stanowi pozytywny przejaw życia. W politeizmie widać już wyraźnie walkę ze śmiercią. Symbolicznie rzeczy biorąc można nawet powiedzieć, że zaraz poza granicą śmierci otwierają się już przez człowieka, wyznawcą bogów, szerokie horyzonty pół elizejskich. Pojęcie wieczności i nieśmiertelności w wysoko ukształtowanych religiach przynosi już całkowity trymf woli życia — woli silniejszej niż śmierć fizyczna.

Niewarto chyba na tym miejscu cytować dwóch wielkich socjologów szkockiego Frazer'a i francuskiego Durkheim'a, aby przytoczyć ich ciekawe badania na temat religii jako podstawowej, syntetycznej formy bytowania społecznego. Bardziej bowiem byłoby istotne przypomnieć sobie genialnego myśliciela XIX wieku, twórcę socjologii i prekursora dziś dopiero rozwijających się kierunków psychologii — August'a Comte'a. Jego doktryna zwana filozofią pozytywną, ultraidealistyczna w swych założeniach i celach, w ciągu długich lat przez nieporozumienie lub ignorancję komentatorów mieszaną była niestety z materializmem. Otóż filozof ten szukając punktu przecięcia wszystkich dziedzin życia społecznego, jakgdyby soczewki zbierającej w sobie wszystkie promienie ducha, doszedł do wniosku, że tylko w systemie religijnym społeczeństwo może znaleźć całkowitą syntezę życia.

Najciekawszą jest jednak ta okoliczność, że Comte szukał drogi do nowej syntezy w czasach, gdy po rewolucji francuskiej i długich wojnach epoki napoleońskiej, w ogólnym zmęczeniu i depresji już tylko jedna prawda ujęta kiedyś lapidarnie przez Saint Simon'a zdawała się oczywista: "Ludzkość nie po to istnieje, by zamieszkiwać ruiny."

zreorganizować wierzenia. Reorganizacja wierzeń, może być tylko uskuteczniona w ramach systemu obejmującego całość zjawisk życiowych — systemu religijnego.

Byłoby niebezpieczne w dzisiejszej sytuacji szukać rozwiązań w pierwiastkach mistycznych, zwłaszcza nieszczerze odczuwanych i sztucznych, byleby tą drogą zbliżyć się do religii.

Religia ogarnia wszystkie dziedziny życia ale tylko w epokach wielkich syntez. Wówczas wszystkie dziedziny twórczości: filozofia, poezja i proza, nauka i technika, malarstwo i rzeźba, architektura i sztuka dekoracyjna, tańce i muzyka owiane są jakby jednym i tym samym, wspólnym ideałem, który wymyka się z pod wszelkiego określenia, bo obejmuje całość.

Wielcy mistycy wychodzą pozornie poza sferę życia zbiorowego, choć do pewnego stanu ich rozwoju wewnętrznego są z nim ściśle związani, związani nawet mocniej, niż ktokolwiek inny. W ich indywidualnym cieple organicznym (choć w wypadku mistyków należałoby raczej powiedzieć: w indywidualnym żarze organicznym) skapiją maksimum elementów zaczerpniętych z ducha kultury, do której należą. Dopiero przy pomocy siły wewnętrznej w ten sposób zdobytej usiłują wyostać się z codzienności otaczającej ich życia. Tak więc w owym obcowaniu sam na sam z bóstwem, lub jeśli kto woli sam na sam z bytem, zarówno wizja bóstwa lub bytu jak ideał obcowania stworzone są z pierwiastków zaczerpniętych z ducha zbiorowości.

Nie wyczerpuje to oczywiście zagadnienia mistycyzmu. Mamy tu do czynienia tylko z jednym punktem widzenia, ale właśnie ten punkt widzenia nas tu interesuje.

Gdy jakaś epoka obfituje w pierwiastki mistyczne, oznacza to, że źródła inspiracji biją mocnym prądem, że wytwarzane elementy kultury mają charakter jednolity, łatwo łączą się ze sobą w jedną całość i szeroką falą wlewają się w psychikę indywidualną. Przeciwnie, brak mistyków na horyzoncie myśli oznacza, że prąd społeczny rozszczepia się na setki i tysiące strumyków o różnym charakterze i kierunku, że brak jednego wspólnego łożyska, do którego wszystkie strumyki mogłyby wpadać po przebyciu ich indywidualnej drogi.

Chrześcijaństwo obfituje w pierwiastki mistyczne we wczesnym średniowieczu, kiedy wspaniała system filozoficzno-moralny Pawła z Tarsu działa jeszcze w całej pełni łącząc wszystkie czynniki życia zbiorowego w jedną, harmonijną

Jan od Krzyża jest ostatnim niemal mistykiem w wielkim stylu. Znaczy on jednocześnie punkt w dziejach chrześcijaństwa, od którego rozpoczyna się tak zwany wielki kryzys zachodnioeuropejski, trwający już od trzech wieków.

Jak wiadomo, socjologowie znawcy religii dzielą zjawiska religijne na dwa zasadnicze rytuwały: pierwiastek wiary i pierwiastek rytuału. Wiara jest zjawiskiem poznawczym, intelektualnym. Rytuał jest jej zmysłowo-organicznym odpowiednikiem — gestem.

Czy podział ten nie jest sztuczny? Takby się zdawało, szczególnie w świetle tezy Bergsona: myślimy całym naszym ciałem. Podział socjologów był jednak oparty na doświadczeniu historii. W czasach Renesansu to jest właśnie w chwili, gdy zaczął się wielki kryzys zachodnio-europejski nastąpiło wyraźne rozszczepienie się pierwiastka wiary i rytuału.

Od stu lat niemal wszyscy poważni socjologowie godzą się na to, że wiara od chwili rozdziału z rytuałem przetrada się stopniowo w filozofię, w naukę, dzieli się na poszczególne nauki, nie mające ze sobą wiele wspólnego i tworzące anarchicznie działające techniki. A co się dzieje tymczasem z rytuałem?

Tutaj już na własną odpowiedzialność podajemy hipotezę, że rytuał przetradał się stopniowo w sztukę, w cały szereg poszczególnych gałęzi sztuki, rozwijających się niemal niezależnie od siebie. Ich udział w życiu ma również charakter przypadkowy.

Istniały wprawdzie próby systematyzacji nauk, że zacytuje choćby tylko encyklopedystów francuskich z d'Alembert'em na czele. Próby systematyzacji sztuki pojawiały się od czasu do czasu, szczególnie w dziedzinie harmonizowania architektury, rzeźby, malarstwa i sztuki dekoracyjnej. Były również próby harmonizowania kolorytu z muzyką. Wszystkie te próby niedorósł jednak ani do poziomu greckiej chorei, ani do poziomu gotyckiej katedry.

Z konieczności generalnej syntezy wszystkich dziedzin życia zdawał sobie sprawę tylko Auguste Comte i nawet sam przedświadził jedyną w ciągu trzystu lat próbę dokonania tego dzieła. Nie był on w tej dziedzinie ani dostatecznie rozumiany, ani dostatecznie poparty. Wyprzedził o sto lat rozwój myśli. Charles Blondel pisze, że dopiero po stu latach badań zdołaliśmy zrozumieć i ocenić myśl przewodnią tego wielkiego filozofa.

Skoro wspomnieliśmy już o tym wielkim i pociągającym człowieku zatrzymajmy się przy nim jeszcze na chwilę. Jeden promień światła załamany w pryzmacie jego duszy rozjaśnia nam szerokie horyzonty w sferze aktualnych zagadnień społeczno-politycznych. Jest coś tragicznego w tej postaci. Comte tworzy system filozoficzny jako wstęp, jako fundament dla nowej religii, która ma ogarnąć całą ludzką w imię zasady miłości. System filozoficzny święci dziś tryumfy, religia zaś jego, jako mała sekta pozytywizmu rozwija się powoli prawie wyłącznie w Ameryce Południowej. Czy pisząc nowy system religijny Comte przestał być genialny? Nie. Genialnym był do końca. Na czym polegał błąd? Comte wychowany był przez matkę w miłości dla katolicyzmu i w głębokiej miłości dla bliźniego, sam zaś pokochał naukę. Zdawał sobie sprawę z roli jaką nauka odgrywa i odegra w nowoczesnej cywilizacji, przytem wiedział, że na to, aby nauka odegrała rolę pozytywną musi stać się częścią organiczną systemu religijnego.

Współczesny Comtowi katolicyzm, który powrócił do Francji razem z restauracją Bourbonów nie ogarniał już szerokiej mas, przytem w swej dość konserwatywnej polityce nie zdradzał wielkiej skłonności do idei postępu, noszącej na sobie piętno rewolucyjnego Condorset'a. Młody filozof obawia się, że ludzkość straci religię jako główny czynnik konsolidacji społecznej, reszta co myśli o potrzebie religii to już wiemy. Przytem dręczy go choroba nerwowa, która każe mu widzieć rzeczywistość w czarniejszych, niż to jest kolorach. Tworzy nową religię przez resztę już lat swego ascetycz-

nego życia. "W pierwszej połowie mego życia byłem Arystotelesem — pisze — w drugiej będę Pawłem." Dramat polegał na tem, że do systematyzacji nauk oraz do zastąpienia sociologią jako nauką pozytywną dotychczasowej filozofii społecznej potrzebny był nowy Arystoteles. Filozofia miłości nie potrzebowała nowego Pawła z Tarsu. Pod koniec życia Comte zaczyna sobie z tego zdawać sprawę. Znękany chorobą, zmęczony i stary wysłał emisariusza do Jezuitów proponując przymierze pomiędzy dwoma religiami. W istocie wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Myślą tego przymierza jest ciągle i nieustannie troska o ludzkość. Ci którzy nie wierzą w Boga, a jednak kochają ludzi, będą mieli przymierza jest ciągle i nieustannie troska o ludzkość. Ci którzy nie wierzą w Boga, a jednak kochają ludzi, będą mieli przymierza jest ciągle i nieustannie troska o ludzkość. Ci którzy nie wierzą w Boga, a jednak kochają ludzi, będą mieli przymierza jest ciągle i nieustannie troska o ludzkość.

Tak się nie stało i tak się stać dotychczas nie mogło. Nowy wiek XIII o którego powrocie w odnowionych formach tak nieustannie marzył Auguste Comte dopiero teraz zdaje się nadchodzić. Przyszłość więc czas, w którym naturalnym porządkiem rzeczy, pomijając błędy Comta, bierze się z jego systemu wszystko, co było w nim genialnego. Asymilacją pozytywizmu do uniwersalnej doktryny katolickiej już przed wojną zajęli się wybitni katolicy we Francji. Był to wysiłek równie doniosły jak asymilacja filozofii Arystotelesa w średniowieczu. Wielkie konsekwencje tego faktu wkrótce będą widoczne.

Tymczasem kryzys zachodnio-europejski trwa jeszcze ciągle. Przeżywa gorączkę agonii, ale trzyma się ciągle resztkami sił. Dziś odczuwamy go, dotkliwiej niż kiedykolwiek. Jako produkt

anarchistycznie rozwijających się nauk i anarchistycznie działającej techniki, spadają nam na głowy bomby latające, bomby rakietowe i bomby zwykłe, walą nas jak taranem uczenie skonstruowane tanki, można zapalać nasze domy z wysokości setek metrów i niewiadomo jeszcze jakie miłe niespodzianki szykują dla nas te cuda niczemu nie podporządkowanej techniki.

Może trzeba było zejść na dno przepaści, może potrzebne były te trzy wieki pokuty za to, że człowiek wieku XVII sięgnął po owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego pod postacią nowoczesnej nauki nie troszcząc się o oparcie jej na systemie moralnym. Może trzeba było dzisiaj tego dnia nędy na to, aby zrozumieć, że posiadanie nauki, która pozwala na cuda techniki oraz posiadanie wielkiej sztuki, która rafinuje i rozdelikaca smak życia, a rozniecając apetyty tworzy cuda artystycznego luksusu — tylko wtedy nie jest zębne, jeśli obie te gałęzie ludzkiej twórczości wychodzą ze wspólnego pnia systemu religijnego — syntezy życia.

Twórczość człowieka jest naturalną i najwyższą z naturalnych funkcji życia. Jest to właściwa droga zbliżania się do ideału, ale obie dziedziny twórczości, nauki i sztuki, muszą być objęte wspólnym systemem moralnym, który nie jest już dziedzina lecz duchem samym — duchem syntezy.



Geddes: Roma aeterna

A. PLUTYŃSKI

BOŻE NARODZENIE W ZURYCHU

1899—1900

W POŁOWIE GRUDNIA 1899 WYDZIAŁ "Czytelnia Akademicka" we Lwowie polecił mi wyjazd w charakterze delegata gościa na Zjazd "Zjednoczenia" w Zurichu.

Dla dziesięcioletniego akademika był to zaszczyt niemały, zwłaszcza że na porządek dzienny obrad wniesiono sprawę współpracy politycznej ze studenterią rosyjską.

Było zaś to tak: Z początkiem roku szkolnego 1899 na uniwersytecie w Petersburgu doszło do zaburzeń, aresztowania docentów i uczniów. Bratnia pomoc petersburska, organizacja półjawna, wysłała do wszystkich szkół wyższych Imperium, a także do "Bratniej Pomocy" w Warszawie, odezwę wzywającą do strejku, a zaczynającą się od słów: "Państwo krajów świątój Rosji." Już to pierwsze słowa uderzyły Polaków jak świątynie batem. Warszawa prawnie, i faktycznie w sercach polskich, nie leżała w obrębie "Świątój Rosji," nie przestała być stolicą Polski, a młodzież stolicy Rosji nie miała prawa dyktować młodzieży polskiej, jak i kiedy ma walczyć o swe prawa z Caratem.

W "Bratniaku" Warszawskim zawrzało, bo praktycznie sprawa wcale nie była łatwa. Rozproszona dobrowolnie lub przymusowo po wszystkich wyższych szkołach Rosji młodzież polska do organizacji tajnych rosyjskich rzadko występowała. Tworzyła własne, ale te jej organizacje utrzymywały kontakty z rewolucyjnym ruchem rosyjskim w przekonaniu, że dla zwycięstwa trzeba walczyć w porozumieniu i że zwycięska rewolucja wymierzy Polsce sprawiedliwość. Wszystkie nieomal grupy opozycyjne potępiały rozbiory Polski. Zerwanie tych stosunków część młodzieży uważała za szkodliwe. Myśleli tak przedewszystkiem socjaliści, którzy niedawno z międzynarodowej Socjal-demokracji przeszli pod przewodnictwem Limanowskiego, Piłsudskiego i Daszyńskiego na Polską Partję Socjalistyczną i tę nową nazwę okrywali sławą niezawodnego patriotyzmu.

Obok narodowców przeciw strejkowi wystąpili także zwyczajni oportuniści, pragnący uniknąć straty roku i kar za strejk, napewno cięższych w Warszawie, niż w Rosji.

Ostatecznie, w powszechnym głosowaniu, dwie trzecie studentów Warszawy opowiedziało się przeciw strejkowi, ale zwolennicy solidarności ze studentami rosyjskimi, wystąpili z "Bratniaka," założyli nowe stowarzyszenie "Spójnia" i oddali "Bratnią Pomoc" pod sąd opinii walnego zebrania "Zjednoczenia," najwyższej powagi moralnej młodzieży polskiej, bo składającego się z delegatów stowarzyszeń studentów Polaków na uczelniach zagranicznych; w krajach względnej wolności. Dotychczas wszystkie zjazdy "Zjednoczenia" wykazywały zdecydowaną większość Polskiej Partii Socjalistycznej.

Głos mój, jako gościa, nie mógł ważyć na szali uchwał, ale "Czytelnia" lwowska miała wśród młodzieży pozycję wyjątkową. Od dziesiątków lat wieść studentów lwowskich uznawały, że Prezes Czytelni miał prawo reprezentowania

opinii całości młodzieży stolicy Galicji. On zawsze wybierany był na przewodniczącego wieców i dopiero właśnie w grudniu 1899 roku po raz pierwszy zdarzyło się, że na przewodniczącego wybrano członka stowarzyszenia socjalistycznego Kol. Wyrostka. Od roku 1895 po Próchnickim wszyscy prezesi deklarowali się być najbliższymi programowi narodowo-demokratycznego sformowanego przez Jana Jastrzębca Popławskiego, ojca duchowego i założyciela obozu narodowej-demokracji.

Rzeczywiste kierownictwo polityką narodu spoczywało atoli w organizacjach tajnych. Taką naczelną organizację stworzyli w latach osiemdziesiątych: Pułkownik powstania 1863 Jeź-Mitkowski, ojciec socjalizmu polskiego Bolesław Limanowski, antykwarz w Sztokholmie Bukowski i paru innych pod nazwą "Liga polska."

Wkrótce jednak nastąpił w Lidze rozłam na grupę narodowców-demokratów pragnących oprzeć się na chłopach, tradycji polskiej i organizacji własnych sił społecznych i — socjalistów budujących przedewszystkiem nadzieje narodu na ruchu robotniczym i światowej rewolucji. Pierwsza grupa stworzyła "Lige Narodową."

Kiedy wstępowałem w życie akademickie znakomity autor "Współzawodnictwa i współdziałania" wódz młodych w Lidze Bogusz Potocki już był zginął bez śladu w tajemniczy sposób w Warszawie, a ideowe kierownictwo znalazło się w rękach wielkiej trójki: Popławskiego, Dmowskiego i Balickiego.

Autorytet Popławskiego był dominujący. On to prowadził i przeważnie wypełniał szpalty naczelnego organu ruchu "Przeglądu Wszepolskiego," a co ważniejsza redagował "Polaka," który był przeznaczony dla wsi pod panowaniem Rosji i który jej poglądy przez lata formował, a który studenci lwowscy i krakowscy, przemycali z wzorową punktualnością przez granicę Rosyjską. Takich bardzo emocjonujących i obfitujących w ciekawe sytuacje wypraw dokonałem osobiście czternaście. Przemycano się obok "Polaka" i "Przeglądu" także organ studentki "Teki" (redagowany przez Skalkowskiego później przeze mnie, a po mnie przez St. Strońskiego) również książki do nabożeństwa. ("Tarcza polska"), różne odezwy i broszury dla opornych Unitów.

Dom państwa Balickich na Dębnikach w Krakowie był główną kwatery ruchu i miejscem spotkań Polaków od Władysława do Chicago. Jako pisarz Balicki był dziwnie oschły, ale osobiście promieniował takim czarem, że nikt z nim, chyba jego małżonka, nie mógł współzawodniczyć. Oni to we dwoje organizowali koła "Zetu," tajnej dwustopniowej organizacji młodzieży, do której zostałem przyjęty po założeniu przez Rudowskiego, członka Centralizacji w Berlinie, koła lwowskiego.

(Ciąg dalszy str. 4)



Jean Geddes pinx

Trudno o prawdę, która w naszych czasach byłaby bardziej aktualna. Trudno również o lepsze wskazanie drogi wyjścia z ruin, jak to, które dał Comte: by zreorganizować społeczność trzeba przedtem zreorganizować obyczaje, by zreorganizować obyczaje trzeba przedtem

całość. Nowe zastępy mistyków ukażą się po wieku XIII to jest po odnowieniu i skonsolidowaniu ducha chrześcijańskiej zbiorowości. Potem zastępy ich rzędna. Przychodzą wprawdzie epoki konsolidacji ducha, ale konsolidacja ta ma raczej charakter częściowy, fragmentaryczny.

MAGDALENA DUBANOWICZOWA

MUZEUM DZIEDUSZYCKICH WE LWOWIE

"A czy znasz Ty, Bracie młody,
Te pokrewne Twoje rody?
Tych Górali i Litwinów,
I Żmudź świętą i Rusinów,
I Twej ziemi bujne płody?"

Wincenty Pol.

GDY PRZED STU SIEDEMDZIESIĘCIU laty ziemię naszych ojców na troje rozdarło, a granice trzech mocarstw przebiegały przez żywe jej ciało, niebezpieczeństwo zatraty poczucia jedności narodowej w świadomości nadchodzących pokoleń stało się największą bodą troską wielkich polskich umysłów i serc gorących. Wpojenie żywego przywiązania do całej historycznej Polski—Polski Jagiellońskiej, jak wówczas mówiono—oto cel wysiłków literatury, sztuki, wychowania, w tajnej często szkole, a przede wszystkim w rodzinie, gdzie pochodnia miłości Ojczyzny przechodziła z pokolenia na pokolenie rozpalenią przez kobiety, opiewane w poezji "Matki-Polki."

Jeden z najcenniejszych pomników przywiązania do całej Polski to Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie. Jest ono dziełem jednego człowieka Włodzimierza Dzieduszyckiego. Życie jego przypada na okres najgłębszej niewoli i najbardziej wyżonej walki o polskość.

Urodzony w roku 1825, umiera w roku 1899. Związki rodzinne łączą go z wszystkimi trzema zaborami, rozległe dobra ziemskie każą mu działać również we wszystkich trzech zaborach, a umysł jego i serce nie poddaje się chwilowej rzeczywistości podziałów Polski. Z tych źródeł płynie idea, która nieomal zadziwia na tle ówczesnych stosunków, bo dziwnem jest wszystko to co się wznosi ponad bezpośrednią teraźniejszość.

Postanawia "pan Włodzimierz" założyć we Lwowie muzeum, którego zbiory zapoznawałyby z przyrodą żywą i martwą całej Polski w granicach największego jej historyczno-geograficznego zasięgu. Cel ten pojmując bardzo szeroko: przenika w mroki przedhistoryczne, w głębiny geologiczne pokładów, kusi się o całokształt fauny, flory i minerałów, gromadzi stroje i wyroby ludowe. Od brzegów Bałtyku po stopy Czarnomorskie, od Śląska i Odry po Zadnieprze i Kurlandję sięga jego bystry wzrok kolekcjonera, wspierany, na szczęście, środkami wielkiej fortuny. Spokojny, wytrwały i niezmiernie pracowity urokiem swej prostoty umie znaleźć współpracowników w Wrocławiu, Gdańsku i Petersburgu, nawiązuje ściśle stosunki z kustoszami muzeów w całej Europie, odwiedza je, wymienia okazy. Wyształcony przyrodnik-ornitolog, sam klasyfikuje eksponaty. Otacza się licznym zastępem profesorów, preparatorów i badaczy, którzy z prawdziwym zapałem pracują dla Muzeum.

Na całym obszarze dawnej Rzeczypospolitej ma swoich wielbicieli, a zarazem gorliwych poszukiwaczy okazów. Do starego rybaka-Kaszuby pisze listy, by mu koniecznie na jesieniych przelotach ustrzeżli kaczkę edredonkę, niezmiernie rzadką w tych stronach, a której nie chce mu odstąpić Niemiec dyrektor zbiorów gdańskich, mimo że mu p. Włodzimierz proponuje na zamiąg piękny okaz tegoż gatunku zabity w Norwegii. Od cesarza rosyjskiego dostaje upolowanego w Białowieży żubra. Profesor Rosjanin z Odessy przysłał mu egzemplarz pawicy nocnej—największej śmy europejskiej. Austriacki arcyksiążę mienia z nim orla zabitego na Spiszu. P. Włodzimierz bowiem zawsze bezwzględnie przestrzega zasady pochodzenia każdego okazu z terytorium Rzeczypospolitej. Myśliwi w całej Polsce wiedzą w końcu, że każde osobliwe trofeum należy odesłać do Lwowa. Nierzadko preparator jedzie na miejsce i tam konserwuje i wypycha cenny okaz.

W dobrach Dzieduszyckiego zbieraczami stają się chłopci, mieszczanie, sąsiedzi i przygodni goście. Za każdy p. Włodzimierz dziękuje własnoręcznym listem. Przez szereg lat muzeum poszukuje niebieskiego raka rzeczno. Nikt nigdy nie podobnego nie widział, ale p. Włodzimierz mówi, że takie raki bywały. Aż w stawie na Wołyniu łowi niebieskiego raka, którym cieszy się cała zespola w kompletowaniu zbiorów brać przyrodników. To znów w jesieni zjawiają się na Podolu, przynagane wyjątkowymi wichrami ze stepów azjatyckich pustynniki. Pada hasło: "do muzeum" i wnet kilkanaście ptaków leży w laboratorium. Przez następnych lat go już się pustynniki w Polsce nie pokazały.

Najcenniejszy skarb uzyskało Muzeum w kilkanaście lat po śmierci założyciela; w szybkiej wosku ziemnego w Staruni natrafili robotnicy na "konserwę" nosząca w ropie naftowej a o parę metrów niżej, mamuta! Oba zwierzęta były doskonale zachowane, w całości pokryte skórą z resztkami uwłosienia, z tkanką mięśniową i całym kościem. Zajął w Muzeum dwie duże sale i nawiązały łączność z przyrodą zamierzchłych epok.

W latach 80-tych XIX wieku przeniosł Dzieduszycki Muzeum do obszernego gmachu w centrum Lwowa. Urządzał je

przez kilka lat, czuwając osobiście nad każdym szczegółem. Układ i podział był wynikiem starannych badań przeprowadzonych w muzeach i zbiorach europejskich. Na parterze mieściły się kopalnie i paleontologia. Na I-szym piętrze fauna polskich pól, lasów, rzek i morza Bałtyckiego, ogromny zbiór i wspaniałe zbiory owadów. Wiele plastycznych i kolorowych map ułatwiała orientację. Na drugim piętrze—wszystko co dotyczy człowieka—odwiecznego mieszkańca, Polski; lalki naturalnej wielkości w strojach ludowych, sprzęty domowe, wyroby przemysłu ludowego i wykopaliska kultury łużyckiej, groby przedhistoryczne, broń kamienna, kościane przedmioty i narzędzia. W gablotkach mieścił się wspaniały zbiór monet wykopanych na ziemiach Rzeczypospolitej i—korona tego działu—skarb Michałowski: zawartość grobu znalezionej nad Dniestrem w dzisiejszej Małopolsce, a podążęgo z czasów rozkwitu miast starożytnej Grecji. Były tam przedmioty złote, ozdoby kobiece, broń i monety. W nie-

mym podziwie patrzyła na misterne złote paciorki, zausznice, naramienniki i bronzowe sztylce zastępy zwiedzających Muzeum dzieci szkolnych.

"Pan Włodzimierz" z udziałem swych współpracowników układał "Przewodnik po muzeum." Dział ornitologii był jego własnym dziełem. Obok każdego okazu umieszczał miejsce pochodzenia i nazwisko ofiarodawcy. "Przewodnik" miał kilka wydań i sam był obszernym podręcznikiem do poznania polskiej przyrody.

Obok muzeum powstał szereg działów uzupełniających. Największy w kraju zbiór kilimów ludowych, muzeum broni polskiej z pięknym kompletem broni palnej od pierwszych jej początków. Wszędzie obszerna licząca go tysięcy tomów biblioteka, zawierająca pierwsze druki polskie i bogaty dział manuskryptów.

Zwiedzając muzea przyrodnicze w różnych częściach świata, zauważyłam nierzadko, że krążący po nich ludzie patrzą z mniejszym lub większym zainteresowa-

niem, dziwią się, lub nudzą. Przez sale Muzeum Dzieduszyckich przepływały w ciągu całego roku zastępy młodzieży szkolnej i ludzi dorosłych a wszyscy mieli w oczach wyraz zachwytu i serdecznego wzruszenia.

Dlaczego tak było? Oto w gmachu tym zaklął jego Założyciel swe gorące umiłowanie Polski, całej w czasie i w przestrzeni, w przeszłych i przyszłych jej pokoleniach, Polski stanowiącej całość złożoną z ziemi, powietrza, wód, z żywych istot, roślin i kopalni, z ukrytych w jej łonie śladów dawnego życia, Polski, której wykultem jest człowiek-gospodarz od początku, dziś i w przyszłości.

Miłość mądra, głęboka i twórcza ożywia nagromadzone tak liczne przedmioty i czyni z nich jedną całość, która tajemniczymi słowy przemawia do serc i umysłów dzieci tej właśnie ukochanej przez założyciela Polski-Ojczyzny i Matki.

Muzeum Dzieduszyckich zgromadziło w jednym miejscu to co serca polskie kochają w cząstkach i ułamkach własnych zakątków i partykularzy i olśniewa każ-

dego wspaniałym blaskiem bijącym z syn-tezy szczegółów tworzących w jedną całość: przyrodą Rzeczypospolitej.

Dlatego słusnie o niem powiedział więziony, w sowieckiej turmie wielki rosyjski uczyony i przyrodnik: "Wy macie w Polsce dwie rzeczy, którym równych nie ma na świecie: Muzeum Dzieduszyckich i Atlas Romera."



A. PLUTYŃSKI

BOŻE NARODZENIE W ZURYCHU

1899—1900

(Ciąg dalszy)

Roman Dmowski, wybitny mówca i błyszczący pisarz, podówczas stosunkowo młody brał udział w pracach organizacyjnych. Reprezentował on ruch na zewnątrz i przemysłowy jakby go wzór konserwatystów angielskich zmodernizować i wprowadzić na tory jawnego działania politycznego. Wtedy, z natury rzeczy, miał objąć kierownictwo.

* * *

W takim to czasie i w takim obrocie spraw wybierałem się w moją pierwszą większą podróż za granicę. Dostałem akademicką pół biletu trzeciej klasy do granicy Szwajcarii. Zima była śnieżna i mroźna. Już na drodze do dworca kolejowego chwycił mnie Ada Skalkowski, prezes Czytelni, z upomieniem: "Pamiętaj Pluta, abys nas swoją gwałtownością nie zasypał. Pomyśl dwa razy zanim co zrobisz, a tu masz rezerwę na wypadek, gdyby ci twoich zabrakło" i wcisnął mi w rękę sakiewkę pełną złotych i srebrnych rubli, pozostałość z przemysłowych wypraw z bibułą.

W Krakowie u Balickich spotkałem Stefana Dąbrowskiego i Jana Kozłowskiego, delegatów "Bratniej pomocy" warszawskiej, głównych oskarżonych i dalej jechaliśmy razem. Noc w wagonie, dzień zjeżdżamy do Zurichu pełnego krzyku mew i różnorodnego gwaru studentów.

Nareszcie pnąc się coraz wyżej, przedzieramy się przez Alpy i zjeżdżamy do Zurichu pełnego krzyku mew i różnorodnego gwaru studentów. Kwatery rozdziela uroczą koleżankę, miejscową socjalistka. Zapytany o sympatie polityczne, deklaruję się żartem jako anarchista: "Widzicie koleżanko, powiadam, jako Polak muszę zwalczać przy biurokracji tyranów. Niemogę pozwolić aby się wzmocniły przez upaństwowienie życia gospodarczego. A więc—Niech żyje anarchia!" Koleżanka utkwiała wzrok w mój straszliwie czarno-czerwony krawat i dała mi świetną kwatery: Universitätsstrasse 70, na piątku, za franka dziennie.

Był to już poranek wilgi. Dąbrowski odszukał Stefana Natansonę z Charlotenburga, Gabryela Sokolnickiego z Darmstadt i Wiktora Krypskiego z Paryża. Na śniadanie przyniósł nam nowinę. Poznaniacy przybyli masą i mamy zdecydowaną większość. Pada hasło: "Wszyscy narodowcy zapisują się do postnych stołów." Socjaliści dziecinnie demonstrują swą postępowość, zapisując się na mięsną wilgę. A więc się porachujemy.

W olbrzymiej sali hotelu, nazwy już nie pamiętam, zaroilo się od młodych Polaków. Zajmują miejsca.

W środku wielki stół mięsny, dookoła sześć stołów postnych. Sąsiedzi podają mi nazwiska czolowych socjalistów. Jakaś przewaga autoritetu nad narodowcami! Po naszej stronie same młode, niezbrane twarze, niezbrane nazwiska, a tam przy stole mięsny pierwsze miejsce zajmuje Leon Wasilewski, redaktor "Przedświtu," piękny mężczyzna, urodzony leader, obok niego krępy brunet ("Luśnia") Kraus, świetnie pióro radykalne. Dwóch chudziaków Studnickich, Władysław znany nam wszystkim z szeregu prac ekonomicznych i nieokiełzanego temperamentu i Waclaw; dalej gromadka bohaterów czarnej roboty, uciekinierów z więzień i tajg Sybiru. Ten za Proletariatu rzucał bombę na general-Gubernatora, tego złapali drukującego odezwy, ten znów organizował strajk i rozruchy u Lilpopy i Raua i wysoczył oknem z pedzającego pociągu. Tom można było zapamiętać historią osób tego stołu. Przy nim zajęły miejsca również prawie wszystkie miejscowe koleżanki, przeważnie czarnobrowe ziemianki z Ukrainy. Im która bogatsza z domu ten skrajniejszych poglądów lewicowych w Szwajcarii.

Roznoszą dania. Gwar coraz większy. Członkowie jednej tajnej braterskiej organizacji spotkali się poraz pierwszy przy tym stole. Kolega z Charkowa siedzi obok kolegi z Liege. Moskwić obok Darmstadtczyka Leoben obok Paryża. Ileż chciwych pytań, ileż zadziwiających informacji i wyjaśnień. Jedni mówią przez drugich i poprzez stół. Młode życie hućcy.

* * *

Odzywa się dźwięk noża o kieliszek. Wstaje Leon Wasilewski i wygłasza mowę, jak zawsze ziemnie i trafnie ułożoną. W wielkich ruchach o wolność i postęp społeczny narodów Polska przez długie lata starała się uczestniczyć i być na poziomie. Konieczność tę rozumiała zawsze studenteria "Zjednoczenia" i jego zjazdy. Jako redaktor czolowego pisma socjalistów polskich "Przedświtu," może zapewnić, że prace te są odpowiedzialne i trudne. Ma nadzieję, że tak jak socjaliści z kraju, również w pierwszym rzędzie za prace te odpowiedzialni socjaliści za granicą wyteją wszystkie swe siły dla poparcia wielkiego dzieła światowej rewolucji. Intonuje "Czerwony sztandar." Wszyscy powstają, ale śpiewa tylko wielki stół i niewielka ilość przy innych stołach.

Z koleji po gościu z centrali Londyńskiej przemawiać powinien był Dąbrowski (Warszawa), ale ze względu na swą sytuację oskarżonego oddał głos delegatowi "Czytelni." Wstaje a Dąbrowski rzuca mi przez stół ostrzeżenie: "Tylko Antek nie prowokuj!" Należało podziękować za zaproszenie kilku grzesznościami, ale wyczułem, że w nich wszystkich język świętność za krajem. . . . Mówiłem o kraju, o świętach w Polsce, na polskiej wsi. Jedne oczy się iskry podnięta, drugie osłaniają mgłą zadumy. Kończąc słowami: Idziemy wszyscy do jednego celu, do wolnej i niepodległej Polski, ale idziemy dwoma różnymi drogami. Musimy jednak przez cały czas pamiętać, że cel jest jeden i przyjdzie chwila walki ostatecznej kiedy Polska rachować będzie na nas wszystkich, jak tu jesteśmy. Intonuje "Z dymem pożarów" i śpiewa cała sala. Teraz się śpią przemowa za przemową, jedna nawet niemiecka gością Łużyczanina, najmocniej oklaskiwana.

Po wilgi do późna w noc obradował "Zet" ustalając taktykę na obradach.

* * *

Rankiem wyjazd do Rapperswilu, do zamczyska gdzie w polskim muzeum w urnie srebrnej stało serce zmarłego wodza Kościuszki, wszyscy razem, a potem do żywych wodzów, my do Miłkowskiego, a oni do Limanowskiego. Idąc do Miłkowskiego przypomniałem sobie dom mego dziadka Rodeckiego, gdy miałem lat osiem i to nieopisane wrażenie, gdy "emisariusz" Miłkowskiego przyjeżdżał z Rumunii z wiadomościami i rozkazami. Teraz nam poznał osobistość drugiego już członka Rządu narodowego. Pierwszym był mieszkający we Lwowie Szwarc.

Miłkowski był chory. Przyjmował nas leżąc w łóżku. Wierzył się nie chciało, że ten drobny, schorowany człowiek, jedyny ujawniony członek Ligi narodowej, mieści w sobie tyle energii czynu. Usłyszawszy, że reprezentuję Czytelnię i "Tekę" kazał mi wrócić na chwilę rozmowy poufnej. Znalazłem go pogrążonego w myślach i zaszepionego: "Czytuję wasze pismo i stoi na poziomie waszej roboty, ale widzę niebezpieczny brak. W swoich rozumowaniach i pracach nie uwzględniać zupełnie Stanów Zjednoczonych, a wiedzieć, że gdy przyjdzie do wojny powszechnej o wolność narodów Ameryka zadecyduje o losie Polski."

Słowa te zrobiły na mnie wtedy potężne wrażenie, ale zagłuszył je niebawem tok spraw bieżących. Przyznaję, że mimo tego procorwa w dalszym ciągu byliśmy niepoprawni i tak jeden jak drugi obóz nie doceniał znaczenia Ameryki.

* * *

Po cudownej wyprawie do Rapperswilu w drugi dzień Świąt zaczęły się mordercze rozprawy. Przewodniczącym zjazdu został Natanson, zastępcami Krypski i Sokolnicki. Tym samym Zjednoczenie zostało opanowane przez narodowców, solidaryzujących się z Bratnią pomocą w Warszawie. Nie mogliśmy wiedzieć, jaka będzie taktyka P.P.S. Czy zechcą pozostać w mniejszości, czy też opuszczą Zjednoczenie i podkreślą rozłam, który już będzie musiał objąć wszystkie organizacje jawne młodzieży w kraju i zagranicą. Po oficjalnych zebraniach, trwających do dziesiątej wieczór, obradowaliśmy jeszcze trzy godziny jako zjazd "Zetu." Tu moja uwaga została zwrócona specjalnie na ocenę ilościową sił rewolucyjnych wśród oficerów

rosyjskich. Notowałem te wszystkie dane na specjalnym arkuszu, aby nauczyć się ich na pamięć i potem arkusz spalić. Wszakże byłem w wolnej Szwajcarii.

Kiedy już mieliśmy wychodzić z jednego wieczornego zebrania Natanson otrzymał depezę z Berlina, zaszepił się i zakomunikował: "Zaprzysiężony ze mną bankier donosi mi wiadomość, otrzymaną właśnie od mego brata z Warszawy, że w dzień wilgi aresztowano w Warszawie trzydzieści osób. Nie podaje nazwisk."

Wychodziliśmy zgnębieni i idąc z Dąbrowskim i Kozłowskim, którzy mieszkali trochę dalej odemnie, próbowaliśmy na zupełnie, zdawało się, pustej ulicy, dociec kto mógł być aresztowany. Trzydzieści osób to mógłby być cały sztab nasz albo P.P.S.'u. Padły nazwiska, przypuszczenia. Początek wyspy mógł być z ostrej roboty Wielogóskiego w Dąbrowie, formującego robotników narodowych, a może starego lisa Zawadzkiego złapano na robocie wśród księży i unitów. Byliśmy straszliwie przygnębieni.

* * *

Mieszkałem na piątku. W bramie był taki sobie sekretny zamek szwajcarski, co się przekręcało, co przyskalo i brama się otwierała. Otworzyłem bramę, wszedłem na górę i przedkorn usnąłem. Śni mi się, że idę ulicą z Dąbrowskim i Kozłowskim i wymieniam nazwiska. Nagle słyszę śmiech. Odracam się i widzę zdegenerowaną twarz szpiega posyjskiego który całymi dniami wystawał przed wielkim oknem cukierni Loursa w Warszawie śledząc, kto z kim się spotyka.

Pod wpływem tego snu budzę się w świetle pełni księżycowej, mroźnej nocy widzę czarną postać pochylającą się ku mnie. Ryk przerażenia wyrwa się z mych piersi. Rece rzucając się samoczynnie do gardła zmyro. Cofa się jeszcze w czas. Ucieka. Kilka kroków po schodach i trzask zamkniętej bramy. Biegnę w bieleńnię za nim, potykam się na schodach, wałę i łbem w bramę i ani rusz nie mogę otworzyć. Odgłos kroków ginie w oddali.

Wracam do izby. Złoty zegarek z dewizką, mój portfel i sakiewka Adasia z rezerwą leżą na stole. A więc to nie był złodziej! A więc to mógł być tylko szpieg! Na zegarku piąta trzydzieści. Miał cztery godziny czasu. Na stole leży mój arkusz. Można czytać. Zaczyna się: "Załoga Kronstadt 6 oficerów, 9 żołnierzy. Pułki Petersburga itd, itd." Włosy podnoszą mi się na głowie. Mógł czytać, odnotować i teraz już leci po nagrodę, niosąc śmierć wojskowym rewolucjonistom. Wszystko przeciw mojej lekkomyślności! Nie było w dziejach wypadku, aby Polak zdradził rewolucjonistów rosyjskich.

Na śniadaniu opowiadam co zaszło Dąbrowskiemu: "Trudno mój drogi. Musisz go złapać i zabić." "Ależ ja całkiem nie wiem jak on wyglądał." "Nic to. On wie jak ty wyglądasz. Wal na stację i siadaj do po spieszego pociągu, mającego połączenie z Pitrem. Jak cię zobaczy to się zmieszka, a ty wtedy wal." "Nie mam Bronka" (tak nazywaliśmy Browning). "Bierz mój, ale nie zapomnij spalić wszystkich papierów."

Biegnę do domu i przypomnia mi się tragiczna historia, jak właśnie przed kilku miesiącami jakiś nihilistka rosyjska zabiła w Szwajcarii Bogu ducha winnego kupca Muellera biorąc go za niebezpiecznego szpiega. W drzwiach spotykam gospodynię domu, która popatrzyła na mnie złym okiem. Pytam ją więc grzecznie czy nie kreć się tu koło domu jakiś podejrzany człowiek: złodziej albo szpieg, bo był tej nocy w moim pokoju?

"Ale cóż też szanowny Pan mówi. To nie był żaden złodziej ani szpieg. To był mój mąż." Rano idąc do roboty zauważyłam, że drzwi są niedomknięte, chciałam sprawdzić czy kto się nie zakradł i zobaczył czy to pan leży w łóżku. "Und der gnaedige Herr hat gebruehlt wie a Loeve o a Baer." Chciał mego męża zadusić. On uciekł, ale wrócił do domu, bo nie mógł pracować. Leży w łóżku i jeszcze się trzęsie ze strachu "A diese Polen sind alle Anarchisten."

Chwyciłem babę w ramiona, podniosłem do

góry z radości, a potem siadłem na schodach i śmiałem się, śmiałem bez końca.

Kiedy wróciłem na zebranie zastałem Dąbrowskiego w kącie z dziwnie rozjaśnioną twarzą. Mówię mu kto był u mnie w nocy i oddaję Bronka. "Arkusz już umiem na pamięć i spaliłem." "Nic to jeszcze," powiada Stefan ale czy wiesz kogo w Warszawie aresztowano?" "No, mów kogo?" "Marburga, Krzywickiego, Sempelowską, no i cały "postęp." Padłem na krzesło i po prostu dosiłem się ze śmiechu. "A to durnie! Już ich wypuścili?" "Naturalnie. Niczego nie znaleźli, bo niczego nigdy nie było."

Tegoż dnia przyszedł rozłam i to z powodu jakiejś błahej notatki w "Przeglądzie wszechpolskim" opisującym jak to jakaś Polka—w Zurichu w stroju narodowym rosyjskim tańcząc narodowe tańce rosyjskie manifestowała swe uczucia rewolucyjnej solidarności. Koleżdy socjaliści oświadczyli, że z ludźmi, których organem jest "Przegląd" rzucający się na cześć koleżanek w Zurichu, nie mogą pozostać w jednym stowarzyszeniu i wywołują wszystkich do opuszczenia sali.

Wtem wyskakuje na krzesło Władysław Studnicki i woła: "Ależ bydlaki, co robicie! Zostańcie." Nikt go jednak nie słucha. Komenda padła. Wszyscy socjaliści odeszli. Studnicki wyszedł ostatni. Dla niego zaczęła się już nowa droga "Od socjalizmu do nacjonalizmu," taki tytuł miała jedna z wielu jego książek.

Z wieloma z tych którzy wtedy opuścili salę kolegowalem serdecznie w Legionach. Wtedy to odwróciła się sytuacja. Socjaliści szli przeciw Rosji, część narodowców za nią. Ale zawsze jedni i drudzy trudzili się i walczyli dla Polski.

OD REDAKCJI

Wszystkim Czytelnikom i Przyjaciółom pisma naszego składamy, w tym tak osobliwym dniu Narodzenia Pańskiego, kiedy na długie lata ważą się losy kraju naszego i decyduje przyszłość narodu, wszelkie najlepsze życzenia.

Prosimy Boga szczególnie o dar spokoju i rozważa dla nas wszystkich. Obyśmy nie uczynili niczego takiego czego sobie życzy i z czego by się radował nieprzyjaciół i oby gwiazdą przewodnią naszych czynów było stale i jedynie ocalenie Rzeczypospolitej.

W tych dniach Świąt zbliżenia ludzi do ludzi pamiętać musimy, że przymierze, które naz z W. Brytanią łączy, że gościnność, której na tych wyspach doznaliśmy, że wspólne boje naszych żołnierzy z żołnierzami Brytyjskiej Rzeczypospolitej nawiązały związki trwalsze od polityki chwili.

Spotykając przyjaciół z tego kraju, a mamy ich przecież, wielu nie tylko w Szkocji, ale również w Anglii, winniśmy zachować godność i służyć im tem, co mamy najcenniejszego to jest prawdą o stosunkach wokół naszego kraju.

Prawda nasza tj. to, co za prawdę w sumieniach naszych rozumiemy, może być trudną do zrozumienia, ale jest najsilniejszą bronią jaką posiadamy i żadne względy nie mogą nam jej z rąk wytrącić. Prawda połączona z zasadniczą życzliwością zdolna jest przyjaźnie nasze zachować, gdyż ze społeczeństwem tych wysp nie mamy żadnych sprzecznych interesów a bardzo wielu wspólnych nieprzyjaciół.

In signo veritatis vincemus!

THE COMMON CAUSE

Fortnightly of the Polish Section of the "Sword of the Spirit"

EDITORIAL OFFICE: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1

Telephone: MAY 2928

Vol. 3 Nos. 20 and 21

SUNDAY, DECEMBER 24th, 1944

Price: One Shilling

THE POPE AND POLAND

The following is the full text of the address delivered to the Polish colony in Rome by Pope Pius XII on November 15th, 1944.

"BELOVED SONS AND DAUGHTERS of Poland, you know Our fatherly heart well enough easily to understand Our feelings when We receive you this morning. You know very well that your sufferings and sorrows are in truth also Our sufferings and sorrows. These sufferings and sorrows, how great they are! They have grown during the last few years; and in the last few months, and especially in the last few weeks, they have reached such a pitch as is rarely found in the history of nations and peoples. Today they draw the attention of the whole world to your mother country. And that attention is especially focussed on Warsaw, that heroic city so rich in noble deeds of the past and so tragic in its indescribable torments. Anyone who has kept in his heart even the feeblest spark of justice and humanity will be dumbfounded and cast down when merely hearing or reading its story. But the story that is told of Warsaw allows one barely to perceive the terrible reality.

"Warsaw!" City brightened by the charm of a culture to which ever foreigners have yielded! Warsaw! City turned by its own citizens into a ring of fire, whose fire not only burnt those who fought but which made women and tiny children, cut off and isolated from the world, go through indescribable physical and moral torments! A ring of fire? Nay, a crucible, in which gold of the finest grade is being purified and ennobled. Although We feel the deepest sympathy at the sight of this unendurable suffering, We feel an even deeper admiration, which makes Us bow low before the heroism both of those who fought and survived and of those who fought and fell. They all showed the world to what heights heroism can reach—that heroism born of and maintained by the noblest sentiments of human honour and by the strongest convictions of the Christian faith.

★ ★ ★

"It was only a few weeks ago with, in the Hall of Benedictions, your officers, moved by an impulse of filial love and religious awe, begged the special favour granted to them from the depth of Our heart—the favour to be permitted to wear on their shoulders the representation of the throne on which is seated Christ, the King of Nations and the Prince of Peace. It was a touching gesture, a symbol visible to God of the very deep sentiment dominant in the souls not only of those few men but also of their whole nation. We can also rightly add that it was a gesture which eloquently symbolized the invisible values.

"The whole of mankind, of which Christ is the Head, and the true prosperity of the nations, of which He is King, the durability of the peace of which He is Creator and Prince, have as their most unshakable foundation in justice and the respect of right, especially the rights of those who are weaker. When the world becomes itself again, after this whirlwind of madness, hatred and cruelty is over, and, contemplating with horror the full extent of its calamity, starts to regain its balance, then it will recognize—and will have to recognize—Poland's share in the work of its deliverance. This is why a hymn of Our unshakable hope mingles with Our tears of sympathy and with the rapture of Our admiration. The shoulders which bear the Cross of Christ with pride and love, and which support the Saviour's

Throne, such shoulders can indeed be martyred but will not give way under the burden of adversity. The bravest of the brave may perish—*visi sunt oculis insipientium mori*—and in the sight of the foolish seem to be dead; but in reality all those who die in the grace and peace of Our Lord are the most praiseworthy of victors. And We seem to see above, in the Glory of the Lord, that those victims, dear to the Lord, sacrificed that peace might come, those heroes for whom you on this earth shed your tears—and We too shed Our tears for them together with yours—join their prayers to the intercessions of all your Saints: Bishop Stanislas (Szczepanowski); Jan Kanty; Jack (Odrowonsh); Andrew Bobola, the Peerless Martyr; Josaphat, the Apostle of Reunion.

"And how could We today, a day so near to his feast day, not mention with particular warmth a second Stanislas, the angelic Kostka, faithful to the devoted alliance which he had so gloriously kept with his beloved Fatherland? To mention but a few events: it was to him that King Sigismund III turned in his fear during his war against the Infidel. He had the head of St. Stanislas brought to him from Rome, and behold, while the precious relic was crossing the frontier of Poland, he won the first victory of Chocim as a reward of his faith. Or take the fortress of Przemysl, which, surrounded from all sides, lost all human hope. It took the name of Stanislas as its battle cry, and with the cry of 'Blessed be Stanislas Kostka!' the defenders crushed the pincers which were strangling them. Lublin and Lvov were the next to reap the miraculous conse-

quences of their faith in St. Stanislas. King Jan Kazimierz stood guard before his picture at Lublin; the victory of Beresteczko rewarded his prayers. The brave Sobieski venerated the Blessed Youth as the patron of his armies; to his intercession he ascribed the second victory of Chocim. By these victories, Heaven made manifest the fruits of this alliance. And so Pope Clement X, purposely breaking a rule that the Holy See appointed only canonized Saints as official and liturgical Patrons, solemnly proclaimed the Blessed Stanislas Kostka to be Patron of Poland, in his Brief *Ex Injuncto* of January 10th, 1674.

"These proofs of the particular and powerful protection of the young Saint are sustaining your brave souls during the terrible events through which your beloved Fatherland is passing. And so We realize why your hearts do not fail, in spite of the hard and long trials which have been allotted you by the inscrutable will of Providence. Your hope, born of so many prayers, so many years and so much blood valiantly shed, remains forever bright. You can sing as enthusiastically as ever before Wybicki's resounding hymn, 'Poland is not yet lost.' For your Queen, Our Lady of Czestochowa, is watching over her kingdom from the Heaven above. At her intercession, God will wipe all tears from your faces and will bestow upon you His most abundant favours in reward for your sufferings.

"As an earnest of these favours, We bestow Our Apostolic Blessing upon all of you, all your nearest and dearest, and all your fellow countrymen whom you are representing here."

Christmas Day

SOON A THOUSAND YEARS WILL have elapsed from the moment when on this December night Jesus Christ was born for the first time on Polish soil and He has thus been born each year to the greater joy and hope of the people.

Christmas Eve is in Poland the joyful feast of children and of everything that is small, unimportant and socially weak. They were the first to greet the Redeemer for: "God has chosen the foolish things of the world to confound the wise; and God has chosen the weak things of the world to confound the things which are mighty." (I Cor. i, 27.)

The cult of the child and mother, the faith that weak and delicate creatures overcome the rude forces of nature, have from the beginning of the world spoken to peoples, even to pagan ones. Lao-tse says somewhere: "Frail and meek is the body of a new-born child and stiff and hard is the carcass of a man," but nowhere in the world has the cult of the God-Child and His Mother been the powerful source of strength and endurance that it has been in Poland.

Gilt carvings of the Madonna and Child hung on the breasts of the Polish knights. From the homage paid to them were born Grunwald, Chocim and Vienna. "Maiden Mother of God" was for centuries the battle song of the Poles.

Christmas Eve of 1944 is one of the saddest in the history of our nation. In many a Polish home there will be vacant places at table on that eve, awaiting the coming of those nearest and dearest ones of whom we do not know whether they still live, or whether they have already perished in German prisons, in Siberian mines and forests. It seems that the smoke of conflagrations, the reek of

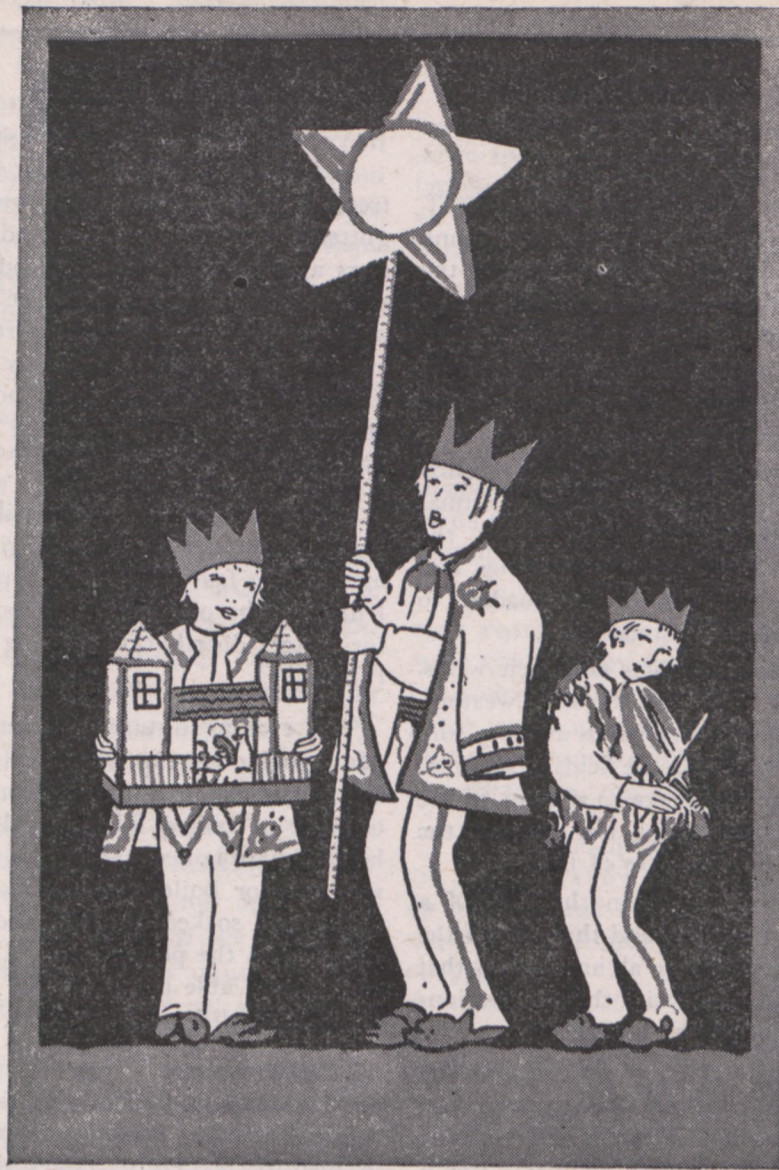
innocent blood and the obscurity of human indifference over Polish soil are so dense that not many will see the star of Bethlehem bringing the good news.

Many of us will lose hope and say that in this year "God is Born" but no "Evil power will tremble," that "The three Kings" come with clamour and pomp, not however to pay homage to the God-Child but to bow before Herod in his castle streaming with innocent blood and to lay before him their priceless gifts. How many of us will come near to the final and irretrievable sin of doubt in the power of the Holy Ghost!

★ ★ ★

What can we, sitting poor and weak at our editorial desks, do to console you on this day on which for a thousand years we have been joyful and filled with the gladness "of every created being." We shall not, it is true, fill the vacant place left by the absence of your dearest ones. In face of the flood of evil that rises day by day we cannot give you any guarantee of the victory of right over force!

And yet, O Brothers, even in the most desperate moments neither our forefathers nor we have laid down our weapons. We have endured times no less desperate: Kosciuszko lies wounded on the field of Maciejowice and Suvorov slaughters Praga-Warsaw. The remnants of Dabrowski's legions perish of fever and by poisoned arrows at San Domingo. Paszkiewicz takes Praga-Warsaw by storm for the second time. In Lithuanian woods perish the last survivors of the 1863 insurrection. France our friend is trodden down by Bismark. Of late France capitulates and we see with our own eyes the defencelessness of these islands, the last pillar of freedom in Europe.



WLADYSLAW SYROKOMLA

A RORATE HYMN OF THE OLD KINGDOM OF POLAND

Translation by E. BENTLEY-SKWIERCZYŃSKA.

"Rorate coeli, lofty sky,
Pour down thy day-spring from on high
From the clouds above to the earthly Field
Let Heaven a great Redeemer yield,
Let the common soil be opened wide
The birth of a Savior to provide."
So with Isaiah, mankind cries,
And the Church walls' echoing hymn replies,
When the wonderful hours are drawing near
And the day of Our Lord's Nativity here,
When in the East will be seen afar,
Burning in Heaven, an unknown star,
When the ancient past in humility meet
Waits to be called to God's Judgment Seat.

O Holy Faith of God's own Son,
Our fathers' virtues thou hast won,
Of thee our ancient peoples taught
Their faith at Heaven's altars sought,
Since every matter they disposed
Began with God, and with God closed.
Seven attributes had man in hand
And the whole body of each estate
Had a special gift to elevate,
Which they asked of God in themorning mass
That is use to man it should surpass;
So laying their vows before His feet,
They are ready to go to God's Judgment Seat.

From the days of her noble Monarch-ghost
In Poland still moved the Holy Ghost;
On the altar, before the Rorate Mass,
Stood a seven-branched candlestick, richly brass,
And each estate, to the altar bright,
Went up to set a candle alight;
The King with the sceptre in his hand,
The Primate, first councillor in the land,
A Senator, guardian of the right,
The elector of kings, a noble knight.
A soldier—defence for his fellows he offers;
A Merchant, enriching the country's coffers.
A Rustic who, with blood and toil,
And each for his mite with candle complete,
Is prepared to go up to God's Judgment Seat."
Bread for his brethren wrings from the soil

Did we doubt then? Why must we doubt today? However dense the darkness of force and world indifference that covers Poland, her sons fight on with the same steadfastness as ever. An attempt is made to strip the Poles of their rights, but Polish soldiers, airmen and sailors are enveloped in the glorious lustre of their weapons. No one will be able to hide, distort and diminish their deeds.

★ ★ ★

Therefore in spite of everything Christmas Eve must be to us as it has been for nearly a thousand years a day of gladness and hope. God who has sown in the hearts of young Poles so much steadfast courage cannot allow this seed not to yield the harvest of victory. Perhaps there has never been in history a moment so menacing for Christian civilization as the present. The enemy has grasped the entire world in his tentacles. Just read the news from China, Persia, Greece, Yugoslavia, Italy, France and Belgium. Truly the greater the struggle the greater the honour for those who not for a moment have left the line of truth and persevere to the end, the greater the merit of all those little men

who already see the truth to which the great are blind.

If we could, then, like those country scamps, we should disguise ourselves as carol singers, one as an ox, another as a goat, one as an angel and another as the devil, as the Three Kings and Herod and with a great star on a pole we should go from one Polish house to the next wassail singing.

Let no stranger see despair on our faces. Let them be astonished that in this most difficult moment we did not forget the customs of our ancestors, the customs of our country, which in the bitterest winter believes in the coming of spring and bids us rejoice aloud.

So we go to you all with the good news "Christ is born." He is born again with the ancient strength in the hearts of man and this time He is born not in Bethlehem but among us on Polish soil and through the Polish shepherds awakens the conscience of the world. "The angels rejoice and sing to the heavens." St. Michael the Archangel sounds the trumpet to the fight from which we shall not cease until "on the trembling body of Satan we place the standard of Thy victory."

300048426812

Biblioteka Główna UMK

EVAN THOMAS

POLISH CHRISTMAS

AUTUMN IS ONE OF THE BEST seasons in Poland, gloriously sunny although a little chilly. Towards the end, heralding the approach of winter there is often a short period of wet weather, but this clears up in December when the first snow falls, and the cold spell sets in.

In the middle of this month, the first signs of the colourful Polish Christmas are brought into the towns by the arrival of long lines of groaning and creaking carts, which are loaded to capacity with Christmas trees.

The peasant farmers and their wives, with faces still brown and weather-beaten from the dry winds and hot sun, after weeks spent in the fields in summer, stack the trees in the open squares, on the pavements and round the yards at the back of the tall blocks of flats.

A city soon takes on the look of a miniature fir forest, and the sight of the trees is a reminder to all and sundry that it is time to hurry with the preparations for the approaching festival.

Everyone, old or young, regards the choosing and buying of a tree as one of the most interesting events of the season. It is a serious business, and every tree is microscopically examined; the whole family arguing and debating the merits or otherwise of the height, thickness of foliage, colour and probable time that will elapse before the green spikes begin to fall. Sometimes, it takes three days of patient search before the right tree is discovered.

Muffled in furs or sheepskin coats, the dealers stamp among their wares, sorting them out according to size, and praising their qualities to the passers-by. The so-called "double-firs" are most popular and prices are low—from 4d. for a three-footer to 4/6 for one eight to ten feet.

The few trees that are left unsold on Christmas Eve are a source of great worry to Polish children, who do not like to think of any of the conifers remaining forlorn and forgotten in some backyard over the holidays, nor of any poor family being without this traditional source of joy. There is little need to worry though, for past experience has told the country people just how many customers they can rely upon serving. The leftovers are usually distributed free to the very poor, before the evening turns to night.

* * *

As in all Christian countries, the week before Christmas is a busy time for the shops. Every window displays its best and most tempting wares, an art at which the Poles excel. The important business of buying presents continues until dusk on the afternoon of Christmas Eve, at which time all shops close for one, and some for two days.

All traffic except train services, stops at about 7 p.m., so that everybody is in a hurry to get home before the last tram or bus goes into the depots until Boxing Day, which, by the way is not an official holiday in Poland.

Christmas Eve in Poland is more important than Christmas Day, and although a dinner with turkey (costing 8/- for an 18 pounder) is served, yet the meal that counts is in the evening of the 24th. No lunch is eaten that day, or at most a few sandwiches.

Early in the evening when work is finished, the special room in which the tree has been kept under lock and key, is opened by father, and the whole family, servants included, are invited to enter and receive their presents. The bulky ones are laid upon a table, and the gifts for the children are spread under the tree which has been lighted beforehand.

Father is first, then each receives his or her gift, ending with the youngest or newest servant. After this, every person is offered a plate of fruit and nuts, with the greeting—"Wesolych Swiat!" which means literally—Merry holidays!

The pretty ornaments so popular with Anglo-Saxons are never used on Polish

trees. Instead, these are decorated with glittering tinsel, many-pointed paper stars and paper chains (previously prepared by the daughters of the family) and blobs of cotton wool to represent snow. The whole effect is always extremely artistic, and many hours are spent by all parents before the effect is passed as perfect.

Candles are mostly used as illumination, though the modern electric lamps are gaining favour. Some people hang fruit and chocolate on the green sprays, for later distribution among young callers.

The evening dinner is a traditional affair, and owing to Catholic influence it is meatless. It consists of a main dish of fried or boiled fish covered with a layer of hard-boiled eggs, and a sweet of macaroni or boiled wheat mixed with poppy-seed soaked in milk and served cold. Even the poorest of families who may not be able to afford fish, will eat this strange dish of poppy-seed.

In some houses, a huge sponge cake two feet high, and containing sixty eggs is served after the meal, but helpings are so plentiful at Polish tables that this cake is usually kept till next day.

Once, with the help of the cook, I

attempted to make a real English pudding, but it did not turn out as expected, and friends who tried it were too polite to say what they must have thought. Lack of some of the essential ingredients did not make the trial a fair one, and in later years I found it better to import my plum puddings.

Nearly all the cooking at Christmas is done in advance so that everyone may enjoy a rest. If there are servants in the household, they are given one or two days' holiday, and in some country districts sit at the same table as their master and mistress, in honour of the occasion when all men are on the same level of society.

Poland is a great agricultural country, and this is reflected in the sheaves of wheat that are stacked in the corners or rooms on all farms, so as to ensure a plentiful harvest in the coming year.

To commemorate the manger of Bethlehem, hay is placed under the table, which has decorations of evergreens and mistletoe on the top. But mistletoe is never used for the purpose of stealing a kiss. That happy custom has still to be introduced into Poland.

After the presents have been duly admired, carols are sung by the family,

and the general goodwill results in a crop of stories and reminiscences of former Christmases.

There is a general superstition in Poland that there must be an even number of guests at a Christmas table, as otherwise it means an early death for one of them.

Just before midnight on Christmas Eve, one goes to mass, the first one after the birthday of Christ. The interiors of the churches are brightly illuminated, and decorated with pine and spruce boughs. A Holy Crib covered with the finest silk stands in some prominent position and is reverently saluted by devout worshippers. As soon as the clocks boom the hour, every bell begins its joyful peal that announces the glad news we all celebrate at Christmas. The choir is given the signal and leads the singing of an anthem of praise.

Once more back home after mass, another meal is laid on the table for those who may be hungry or too excited to go to bed, but this is an informal affair, and one can stand up or stroll about the room while eating.

In the country it is great fun, for a visit to church or to friends means a sleigh ride in the soft moonlight. It is

a great thrill to glide swiftly over the frozen snow, warm and snug under heaps of rugs, and glowing with pleasure at the merry tinkling of the sleigh bells.

In the villages, carol singers carry around a miniature manger lighted by candles, and called a "Szopka," while in eastern Poland, the singers also lead with them a flock of sheep and goats.

A Nativity play under the name of "Jaselka" is presented in most villages. Scenes from the life of Christ are depicted in tableaux, and the performance lasts about three hours owing to rather long intervals. My first visit to one of these plays coincided with my arrival in Poland, and I could not enjoy it fully because of my lack of knowledge of the language.

Later occasions showed me that although the acting was amateurish, as was to be expected, yet at least the actors portrayed a very deep religious fervour.

A Polish Christmas is essentially a family holiday, but recent years have shown more and more people travelling to the mountains in the south where winter sports provide a great attraction, and the scenery—an atmosphere of what one feels Christmas really should look like.

M. D'ANDRIA

CHRISTMAS IN YORKSHIRE

THE ADVANCE OF CIVILISATION which enriches the world in many ways unfortunately causes the decay of the picturesque traditions and customs that used to give variety and interest to daily life. These traditions reach back into the origins of each nation and are moulded by the peculiar mental characteristics and physical environment of the people. The older the nation the more varied its folklore, and Poland with its ten centuries of history is remarkable for its wealth of strange observances and antique beliefs.

England, too, is extremely rich in old customs and legends, so rich that only a very small selection can be made in this article. It has seemed best to limit myself to customs that are still, or at least have been up to recent times, observed in Yorkshire. Yorkshire is the largest county in England and is reputed to possess as many acres as there are words in the Bible. It proudly claims the shortest river in England, the highest waterfall, and the place where King Alfred was resting until he was summoned back to the throne in the hour of England's greatest danger. Above all, Yorkshire has its vast stretches of lonely moors, its seven large dales penetrating into the solitary Pennine group of hills, and its secluded villages that form a reservoir of traditions. Many a cottager has seen the fairies dancing on the grass, or has been helped in the house-work by Redcap the gnome.

Among my own earliest recollections of Christmas is, after the glittering Christmas Tree, the Yule log or "clog" as it is locally named, which we burned on Christmas Eve. It consisted of a piece of tree-trunk of a size suitable for the grate, and it had to be lit at the proper time, just before supper or immediately after dusk. My old nurse used to tell me that if we lit it earlier it would bring bad luck, and if it went out and had to be lit a second time it would be equally unlucky. So I watched it very carefully and when bedtime came I liked to be assured that it was burning properly. I do not remember whether we lit the Yule candles. Two of them packed in a brightly coloured box used to be presented by the grocer to his customers. On Christmas Eve they were lighted by the master or by the youngest daughter of the house, who did it from a piece of candle kept for this purpose from the previous year. This piece of candle must be lighted from the burning Yule log and nothing else must be lighted from it, for it would be extremely unlucky; just as unlucky, in fact, as giving or receiving a light on Christmas Day. Smokers, beware! Sometimes a piece of the Yule log is saved and kept under the bed until the next Christmas when it is placed under the new Yule log and set fire to first. This piece of log is believed to secure the house from fire.

When the clog and the candles were

burning brightly the family would sit round the fire and tell ghost stories such as the tale of the White Horse that comes from the rushing waters of the Strid, near Bolton Abbey. Then there was the story of Barguest, the ghost dog that haunted a lane near Cracoe (for Yorkshire also has a Cracoe). A more kindly tale was that of the Little Light that guides the traveller between the marshes and the deadly bogs when mist shrouded the countryside. When they had had enough of these stories the family would play some of the lively games of cards that amused us in the pre-bridge days; but a new pack had to be used.

Then came the turn of the Yule cake, made of flour, barm, raisins, currants, lemon peel and nutmeg. There was also the cheese upon which crosses had to be cut with a sharp knife before it was tasted. The drink was posset, a mixture of ale and milk. This posset is the last thing that may be drunk on Christmas Eve, and the first thing that is eaten on Christmas Day is frumenty. This is wheat boiled in milk and seasoned with nutmeg and cloves and sweetened with treacle. It is not so many years ago that the cottagers would call at the large farms in their neighbourhood and confidently ask for a handful or two of wheat with which to make their frumenty.

In many parts of Yorkshire extra food is given to the cattle and other domestic animals and scattered for wild birds on Christmas Eve. There is a widespread belief that on that night the farm animals kneel down in adoration and that bees buzz in their hives. You can still meet farmers who will tell you that they have heard the bees and seen the cattle on their knees at night.

There is one belief that will surely interest all maidens. If a girl walks backwards to a peartree on Christmas Eve and then walks round the tree three times she will see the image of her future husband.

In some parts of Yorkshire it was the custom to ring the church bells on Christmas Eve. At Dewsbury and at Horbury, near Wakefield, they tolled the "Devil's Knell." This consisted of one hundred strokes, then a pause; then three strokes repeated three times.

A Yorkshire custom dating from pre-Reformation days was the carrying round of Milly boxes, meaning My Lady boxes. These are boxes containing an orange, an apple, spices, sugar, some holly, and dolls representing the Virgin and Child. Children and old women carry these boxes from house to house and sing a carol, from which the following charming lines are taken:

"God bless the maisther o' this house,
The misteress also,
An' all the pretty little children
That roond your table go."

Besides these, there were other carol-singers called "mummers" who wore fancy dress. In addition to singing they often performed a play based on some Biblical theme. It was believed that if the first group were sent away without a gift all the good luck of the whole year was lost. In some houses a bucketful of frumenty was kept in readiness and into this the carol-singers dipped their cups.

As in the rest of England, the living rooms were decorated with greenery, particularly holly, and if possible a sprig or two of mistletoe. In olden days when transport was difficult many a small town or village was unable to obtain any mistletoe. In such a case a small bush called the "kissing bush" was hung up and gave the same privilege as the mistletoe did, so that the people were not deprived of their innocent pleasures.

The most important visitor on Christmas Day was undoubtedly the "lucky bird," the man or boy who first came to the house. In the West Riding the

lucky bird must be dark-haired, while in the East Riding he was usually light-haired. It is most unlucky if the first person who comes has red hair, because there is a tradition that Judas was red-haired. It is even more unlucky if the first person to call is a woman or a girl. In order, therefore, to avoid any unnecessary risks it is arranged beforehand who shall be the lucky bird. In the East Riding the lucky bird brought a sprig of evergreen, and he received sixpence as well as cake and wine. After he had gone out, every member of the family went out of the house unwashed (not even the hands were allowed to be washed) and carried a sprig of evergreen into the house.

These notes on Christmas customs may be ended with a practical hint, not from Yorkshire but from Cornwall. If on Christmas Eve a person takes a silver coin out of the house and hides it, and on Christmas Day brings it back into the house, he will have money all the year round.

ALFRED TENNYSON

On the Outbreak of Polish Insurrection (1830)

Blow ye the trumpet, gather from afar
The hosts to battle: be not bought and sold.
Arise, brave Poles, the boldest of the bold;
Break through your iron shackles—fling them far.
O for those days of Piast, ere the Czar
Grew to this strength among his desert cold;
When even to Moscow's cupolas were rolled
The growing murmurs of the Polish war!
Now must your noble anger blaze out more
Than when from Sobieski, clan by clan,
The Moslem myriads fell, and fled before—
Than when Zamovskiy smote the Tartar Khan;
Than earlier, when on the Baltic shore
Boleslas drove the Pomeranian.

On the Russian Invasion of Poland (1831)

How long, O God, shall men be ridden down,
And trampled under by the last and least
Of men? The heart of Poland hath not ceased
To quiver, though her sacred blood doth drown
The fields; and out of every smouldering town
Cries to Thee, lest brute Power be increased,
Till that o'ergrown Barbarian in the East
Transgress his ample bound to some new crown:—
Cries to Thee, Lord, how long shall these things be?
How long shall the icy-hearted Muscovite
Oppress the region? Us, O Just and Good,
Forgive, who smiled when she was torn in three;
Us, who stand now, when we should aid the right—
A matter to be wept with tears of blood!

VICTOR STAN

THE SPIRIT OF REFORM

I. POSING THE PROBLEM

L'humanité n'est pas faite pour habiter les ruines.—Saint Simon.

"RELIGION IS A COLLECTIVE will to live." It is not only a basic social link, but also the one form in which the whole — made up of all manifestations of social life — can be realized, which means that it is at the same time the supreme social ideal. Consequently, religion is not only the point of departure in the evolution of humanity, but also the point of arrival. Formulas such as these have been produced by French social philosophy after a hundred years of research, analysis and reflection.

It is in fact true that all religious acts of faith or of ritual are crystallized and manifested chiefly in the various forms of collective life.

Even in the most primitive fetish cults a rudimentary fight for existence is apparent and it is more a tussle or an alliance with the fetish for the preservation of all the positive side of life, than something purely materialistic. In polytheism the battle against death is already clear to see. Symbolically speaking one might say that immediately beyond the frontier of death there opens, for a believer in the gods, the wide horizon of Elysian fields. In the highly formed religions the notion of eternity and immortality brings the complete triumph of the will to live — a will which is stronger than physical death.

It is unnecessary to dwell here on the two great Scottish and French sociologists, Frazer and Durkheim, with their research into religion as an elementary and synthetic form of social existence. It is, on the other hand, important to pause with the nineteenth-century genius who created sociology and was the forerunner of the psychological movements which are only now beginning to develop. His doctrine, called positive philosophy, ultra-idealistic in its principles and in its aim, was long confused — thanks to the misunderstanding or ignorance of his commentators — with materialism. This philosopher searched for the point at which all sides of social life meet — a sort of lens in which all the spiritual rays are gathered together — and he arrived at the conclusion that a complete synthesis of life could only be found by society in the religious system.

The most interesting thing is that the hunt for a way to this new synthesis took place at the time after the French revolution and years of Napoleonic wars, of weariness and general depression, when only one truth appeared evident and was briefly defined by Saint Simon: Humanity was not made to inhabit ruins.

It is difficult for us, today, to think of a more current truth. It is also difficult to find a better pointer to the way out of the ruins than the one which was given by Auguste Comte: to reorganize society the customs must first be reorganized; to reorganize the customs the beliefs must first be reorganized. The reorganization of beliefs can only be effected within the framework of a system which covers all of life's phenomena — in a religious system.

In our present situation it would be dangerous to look for solutions among the mystical elements, specially if they are not sincerely experienced, and to make the approach to religion by these artificial means.

Religion embraces all sides of life, but only in the times of the great syntheses. Then, all branches of human creativeness: philosophy, poetry and prose, science and technic, painting and sculpture, architecture and the decorative arts, music and dancing, are immersed in a single ideal which is common to all, and which evades every effort to define it for the simple reason that it is all-embracing.

The great mystics appear to go out beyond the zone of collective life, but in reality they are linked with it, particularly up to a certain stage of their development, more closely than anyone else. In their individual organic warmth (or in the case of mystics perhaps it would be more apt to speak of their organic fire) they melt up the maximum of spiritual elements from their own particular culture. And it is only with the help of an internal force acquired in this way that they try to outdistance the every-



Jean Geddes:

A vision of our time

day reality which surrounds them. So, in their solitary relationship with divinity — or being if you prefer it — not only the vision of divinity but also the ideal of the relationship, is created from elements which were formerly drawn from the collective spirit.

This point of view, needless to say, does not exhaust the problem of mysticism, but it is the one which particularly interests us.

When a period abounds in mystical elements it is a sign that the sources of inspiration have a powerful current, that the cultural products are of a homogeneous character which makes them join easily into a whole and flow in one large wave into the individual mind. The lack of mystics on the horizon of thought means, on the other hand, that the social current is divided up into hundreds and thousands of small streams of differing character and direction, that a common valley in which all the streams join after their individual journey, is missing.

Christianity abounded in mystical elements during the Middle Ages, when a splendid philosophical and moral system of Paul of Tarsus was still active in all its fullness, and which gathered every factor of collective life into one harmonious whole. New legions of mystics were to appear after the thirteenth century, after the renewal and spiritual integration of the Christian community. Later they became more rare. It is true there were times of spiritual consolidation, but it was partial or fragmentary. Jean de la Croix was almost the last grand-scale mystic. And the point marked by him in the history of Christianity was to be followed by the so-called great crisis of western Europe — now three centuries old.

Sociologists have divided religious phenomena into two principle elements: faith and ritual. Faith is intellectual, a phenomenon of knowledge; and ritual is its bodily counterpart — a gesture.

Is this an artificial division? One might think so, specially in the light of the Bergsonian thesis: we think with the whole of our body. The sociologist's classification was based, however, on the experience of history. During the Renaissance — just, that is to say, at the beginning of the Western crisis — the separation of these two elements, faith and ritual, took place.

Nearly all considerable sociologists for the last hundred years have agreed that from the moment of this separation, faith was gradually transformed into philosophy, into science; and that this became divided up, in its turn, into separate sciences, with little in common, and created technic, which was put to use in an anarchic manner. But what, in the meantime, happened to ritual?

May I suggest that ritual, in its evolution was gradually transformed into art, which in time developed numerous independent branches, whose participation in life was of an equally hazardous nature.

Since the time of this separation of faith and ritual, there have been efforts to systematize. In the sciences it is enough to mention, as example, the work of the French encyclopedists with d'Alambert at their head. As far as the arts were concerned, efforts were made from time to time to systematize them, particularly to harmonize architecture, sculpture, painting and the decorative

arts. To harmonize colouring with music was also tried. But none of these attempts reached the level of the ancient Greek efforts in the same direction or the Gothic cathedral.

Auguste Comte was alone in realizing the need for a general synthesis of all parts of life. And he, himself, made the only really serious effort which has been made for three centuries, to achieve it. In this work of his he was neither sufficiently understood, nor supported. He was a century ahead of his time in the development of thought. Charles Blondel writing about him said with justice that it is only after a hundred years of research that we have come to understand and appreciate the importance of the central idea in the great philosopher's system.

Since we have mentioned the magnetic Comte, let us draw closer to him for a moment. A ray of light, separated by his spirit's prism, illuminates for us huge vistas in the sphere of today's social and political problems. There was something tragic about the man. He created a whole system of philosophy as introduction and foundation for the new religion, which was to encircle all humanity in the principle of love. Today his philosophical system has made a triumphant return — his religion, on the other hand, is developing slowly as a small positivist sect, chiefly in South America. Did the philosopher cease to be a genius when he wrote the religious system? No. He retained that quality to the end. Where then lay the fault?

Comte was brought up by his mother in the love of Catholicism, and the profound love of his fellow-men. He gained by himself the love of science. He understood the role which science was playing in modern civilization. He knew, furthermore, that for its role to be a positive one, science must become an organic part of the religious system. However, Comte's contemporary Catholicism, which had returned to France at the same time as the restoration of the Bourbons, did not encompass the great masses, and in its rather conservative policy it showed no very pronounced tendencies towards the idea of progress, which idea bore traces of the Condorcet revolutionary. The young philosopher feared that humanity was going to lose religion as a principal factor of social integration. We know already what he thought about the necessity for religion. The nervous disease from which he suffered, on the other hand, made him take a dark view of the colours of reality. He created the new religion with which he was preoccupied to the end of his days of aestheticism. "In the first half of my life I was Aristotle," he wrote, "in the second I shall be Paul." The tragedy of this undertaking was produced by the fact that systematization of the sciences, and the creation of sociology (which thenceforth would replace social philosophy by positive science) needed a new Aristotle; whereas the philosophy of love did not need a new Paul of Tarsus.

Towards the end of his life it seems that Comte began to realize that something was not going as it should. Exhausted by his illness, tired and old, he sent his emissary to the order of Jesuits to propose an alliance between the two religions. All roads, after all, lead to Rome. The chief idea in this proposed alliance was the eternal ceaseless caring for humanity. Well — those

who did not believe in God any more would at least have had the religion of the humanity cult. World order would, at least, be based on the single, common principle of love.

But things didn't happen that way. The return of a new, revitalized thirteenth century, of which Comte dreamt so much, did not take place in his time. It is only now that it appears to be approaching. The time has come, in the natural course of things, to acquire all the good from his systems, while avoiding his faults. The assimilation of positivism into the universal Catholic doctrine was already preoccupying eminent Catholics in France before the war. It was an undertaking of as much importance as the assimilation of Aristotle's philosophy in the Middle Ages. The great consequences of this fact will soon be felt.

Meantime the western European crisis continues. It is in its death throes, but still holds on with all its remaining force. We feel it more today than ever. As the product of anarchized sciences and technic operating in disorder, ordinary bombs, flying bombs and rockets descend on our heads, we are struck as with a bludgeon by scientifically constructed tanks, our homes are set on fire from a height of several hundred metres, and on top of all that we have no idea what further miracles are being prepared for us by the sciences and technic, subordinated as they are to nothing.

A. PLUTYŃSKI

CHRISTMAS IN ZURICH

(1899-1900)

IN THE MIDDLE OF DECEMBER 1899 THE Board of the "Students' Library" in Lwow chose me to represent it as guest-delegate at the general meeting of the Students' Union in Zurich.

For a student of nineteen it was a great honour, especially as an affair of such importance as the political co-operation with Russian students was on the agenda.

The facts were as follows: At the start of the academic year 1899 disturbances in the University of St. Petersburg resulted in the arrest of many students and some of the lecturers. The "Welfare Association" of Petersburg, a half-secret, half-official association, had sent an appeal to the student associations of the whole Empire, and also to the "Welfare Association" of Warsaw, to arrange a students' general strike. The appeal began with the words: "To all the boundaries of holy Russia." Those opening words acted on the Poles like the crack of a whip. Legally—and of course in Polish hearts—Warsaw was not within the boundaries of Russia, and the youth of the Russian capital had no right to dictate to Polish students when and how they ought to fight Tsarism.

The Warsaw "Welfare" started to seethe, because the problem was not an easy one to solve. Many Polish students either voluntarily or under compulsion were studying in the high schools of Russia proper. These students seldom joined the secret Russian organizations. They formed their own, but such organizations were working in co-operation with those of the Russian opposition students, in the conviction that such co-operation might assure victory to the revolution; and that this victory might in turn result in the re-establishment of the old Polish frontiers and independence. Practically all revolutionary Russian groups had condemned the partitions of Poland as criminal. Some of the students considered the eventual severing of mutual relations as obnoxious. This was especially the opinion of the Polish Socialists, who, under the leadership of Limanowski, Pilsudski and Daszyński had recently changed the international name of Social-Democrats to the name of the Polish Socialistic Party, already covered with fame for unshakable Polish patriotism. Not only the nationalists, but also many opportunists who were unwilling to face the loss of the school year and the repressive measures which were always heavier in Poland than in Russia, opposed the idea of the strike.

Finally about two-thirds of the students in Warsaw voted against the strike, but the opposition left the "Welfare" and created a separate association called "Unity." This new association asked the "Union" in Zurich to pronounce judgment on the behaviour of "Welfare." The general meeting of "Union," attended by delegates from Polish student associations living abroad in comparative freedom, was, at that time, really the highest moral authority in the world of Polish youth.

Up till now all the meetings of the "Union" had shown a majority for the Polish Socialistic Party (P.P.S.).

As a guest my own voice could not officially weigh in the discussions, but the moral position of the "Library" of Lwow was quite exceptional. For five decades all the general meetings of the students in Lwow gave the Chairman of the "Library" the right to represent the general opinion of the students of Lwow. The town was then the capital of Galicia, and in 1899 it happened for the first time that at the general gathering of the students it was not the Chairman of the "Library," but a representative of the P.P.S. association, Wyrostek, who was elected chairman. From the year 1895 (chairman Próchnicki) all the presidents of the association declared themselves to be nearest

Perhaps it was necessary to descend to the bottom of the abyss. Perhaps it needed three centuries of penance, to expiate seventeenth-century man, who stretched out his hand towards the tree of the knowledge of good and evil, then in the guise of modern science, without bothering to base that science on one single and objective moral system. Perhaps today's depths of misery were indispensable in making us at last understand that the possession of science — which permits miracles of technic, and the possession of art — which refines and polishes the taste of life, developing appetites and creating wonders of artistic luxury — is not, on one condition, harmful. The condition is that the two branches of human creation grow from the same tree trunk of the religious system — of the synthesis of life.

Human creativeness is a natural function and the highest one in life. It is a just road by which to approach the ideal. But both domains — science and art — must be embraced by the moral system, which is not a domain, but spirit itself — the spirit of the whole.



Geddes: Roma aeterna

politically to the national-democratic programme, as formulated by John Jastrzębiec-Popławski, founder of the national-democratic party.

The real leadership of the nation's political life was, however, conducted by secret societies. One of these societies, under the name of "The Polish League," had been organized in the 'eighties of the preceding century by a group of people under the leadership of Jeź-Miłkowski, formerly a colonel in the rising of 1863, and a member of the National Government; B. Limanowski, founder of the Polish Socialistic movement; and Bukowski from Stockholm.

After five years, however, the Polish League split into two parts: the national-democrats, who banked on the peasants, Polish traditions and the organization of the Polish nation's own forces; and the Socialists, inclined to build the future on the workers and the world revolution. The first group continued as "The National League."

At the time when I started my University studies, the leader of the more youthful part of the League, Bogush Potocki, eminent author of "Competition and Co-operation," had already mysteriously disappeared from the streets of Warsaw and the ideological leadership of the League had fallen into the hands of the Big Three: Popławski, Dmowski and Balicki.

The authority of Popławski dominated. He had been the editor and the chief writer of the "All Poles Review," the most important publication of the movement. Still more important, he had been writing practically all of a periodical called "Polak," which was destined to form the opinions and behaviour of the Polish peasantry, under Russian domination, for a long time to come. The students of Cracow and Lwow Colleges had smuggled thousands of copies of this paper over the frontier with astonishing regularity. One copy was bound to reach a village, and you cannot imagine how this free voice was read and appreciated. Personally I made fourteen such smuggling expeditions, which threw many highly emotional and sometimes even humorous experiences in my way. We were also smuggling a monthly students' paper "Tekka," edited first by Skalkowski, later by myself and after by Stroński. The prayer-books ("Polish Shield"), special appeals and booklets for the still badly persecuted and abandoned Unitarians were also being smuggled and distributed.

The home of Mr. and Mrs. Balicki at Dąbniki in Cracow was selected as the headquarters of the movement, and the meeting-place of all Polish patriots from Władystok to Chicago. As a writer Balicki was rather dry, but he had a personal charm with which only perhaps that of his wife could compare. Both of them were chief organizers of the circles of "Zet," secret two-levels organization of the students. After the formation of the "Lwow Circle" by Rudowski, member of the Centralization then in Berlin, I had been accepted as a member of the higher level.

In those times that eminent speaker and brilliant writer Roman Dmowski, had taken only a small part in the work of organizing. He had been largely representing the movement outside. Scheming how to build and change it into an open political party which would be based, if possible, on the example of the British conservatives, and which would finally take over full leadership.

In such times and in such a situation I went on my first greater expedition towards the western world. I had paid my reduced student fare to the Swiss frontier. The winter was frosty and white. On the way to the station

(Continued on page 4)

MAGDALENA DUBANOWICZOWA

"Dost thou know, young Brother,
Those kinsmen of thy race?
Those Highlanders and Lithuanians,
Holy Zmudz and the Ruthenians,
And the rich harvest of thy country?"

WHEN A HUNDRED AND SEVENTY years ago the land of our fathers was torn in three and the frontiers of three powers ran through its living body, the danger that the consciousness of coming generations would lose the feeling of national unity became the chief anxiety of great Polish minds and fervent hearts. To inculcate a living affection for all historical Poland—Jagiellon Poland, as it was then called—was the aim of literature, art and education, often in secret schools, and above all in the family, where the torch of love for the Fatherland was handed on from generation to generation, fanned into flame by women so nobly celebrated in the poem "Polish Mothers."

One of the most valuable monuments of this attachment to the whole of Poland is the Dzieduszycki Museum of Lwow. It is the work of one man, Włodzimierz Dzieduszycki. He lived during the period of the deepest slavery and the most intense struggles for the idea of Poland.

Born in 1825, he died in 1899. As Marshal of Galicia he has been the head of the self-government of this part of Polish country. Family connections united him with all three parts of dismembered Poland; his scattered estates compelled him to act in each of these three parts; and his mind and heart refused to yield to the temporary truth of the partition of Poland. From these sources flowed the idea which is almost astounding when viewed against the background of the prevailing conditions, for that is often strange which rises above the immediate present.

"Mr. Włodzimierz" decided to found a museum in Lwow, the collections of which should illustrate the living and dead natural history of all Poland in its greatest historical and geographical extent. This aim of his he understood in its widest sense. He penetrated the prehistoric mists into the depth of geological strata; he sought the entirety of fauna, flora and minerals; he collected the native costumes and handicrafts. From the shore of the Baltic to the Black Sea plains, from the Silesia and the Oder to beyond the Dnieper and to Courland, his sharp collector's gaze ranged, assisted by the resources of a great fortune. Quiet, persistent and extremely industrious, the charm of his simplicity was able to find fellow-workers in Włocławek, Danzig and Petersburg; he entered into very close relations with the custodians of museums in the whole of Europe; he visited them, he exchanged specimens. As a trained naturalist and ornithologist he himself classified the specimens. He surrounded himself with a host of professors, preparators and research workers, who laboured with real zeal for the museum.

Throughout the whole area of the former Commonwealth he had his admirers and enthusiastic seekers of specimens. To an aged Kashub fisherman he wrote a letter urging him without fail to shoot during the autumn migrations an eider-duck, which is extremely rare in those districts and which the German director of the Danzig collections would not hand over to him although "Mr. Włodzimierz" offered him in exchange a beautiful example of the same species killed in Norway. From the Russian Tsar he received a bison shot in Bialoviesh. A Russian professor in Odessa sent him a specimen of the largest European moth, a night peacock caught on the banks of the Dniester. An Austrian archduke exchanged with him an eagle shot in Spisz. "Mr. Włodzimierz" invariably adhered to the principle that each specimen must come from territory of the Commonwealth. Huntsmen throughout Poland came to know that every unusual trophy had to be sent to Lwow. The preparator often travelled to the spot and there preserved and stuffed a valuable specimen.

On Dzieduszycki's estates the peasants, the townsfolk, neighbours and casual visitors, all turned collectors. "Mr. Włodzimierz" wrote with his own hand a letter of thanks for each gift. For many years the museum sought for a blue crayfish. No one had ever seen one, but "Mr. Włodzimierz" said that there were such crayfish. Finally in a lake in Volynia a blue crayfish was caught, to the great joy of the whole brotherhood of naturalists united by their work of completing collections. Then again one autumn in Podole some rare birds made their appearance, driven thither from the steppes of Asia by unusually violent storms. The word went forth, "to the museum," and soon several score birds lay in the laboratory. For the next thirty years these birds did not show themselves again in Poland.

The museum obtained its most valuable treasure several years after the death of its founder: in a stratum of ozokerite at Starunia some workmen found a rhinoceros "preserved" in oil, and a few metres deeper a mammoth. Both animals were in excellent state of preservation, completely covered with skin and

with remnants of hair, with muscular tissue and skeletons intact. In the museum they occupied two large halls and formed a link with the natural history of prehistoric epochs.

In the eighties of the nineteenth century Dzieduszycki transferred the museum to a spacious building in the centre of Lwow. He spent several years in arranging it, personally superintending every detail. The arrangement of the sections was the result of careful investigations carried out in European museum and collections. Fossils and

paleontology were placed on the ground floor. On the first floor were the fauna of Polish fields, woods, rivers and the Baltic sea, a huge herbarium and a magnificent collection of insects. Many plastic and coloured maps guided the visitor. On the second floor was everything that concerns man, the immemorial inhabitant of Poland; human-sized dolls in national costumes, house chattels, products of peasant industry and examples of Lusatian culture, prehistoric graves, stone weapons, and articles and tools of bone. Show-cases contained magnificent



CHRISTMAS IN ZURICH—(Continued)

Skalkowski, the chairman, gave me some last words of advice: "Remember Pluta not to harm the cause by your violence. Think twice before doing anything, and here, take this in case you run short of money," and he pressed a purse full of gold and silver roubles into my hand, the remnants of some smuggling expedition over the Russian frontier.

In Cracow at Balicki's I met Stefan Dąbrowski and Jan Kozłowski, good pals, delegates of the accused Warsaw "Welfare," and after that we travelled together. A night in a train and then a feverish round of Vienna palaces. A night in a train and a day in wonderful Salzburg. A night in the train and then Innsbruck, glittering in snow and sun like a Polish "szopka."

Going higher and higher over the Alps we embarked finally at Zurich, where the air was full of the cries of seagulls and multilingual chattering of the students.

Lodgings in town were found for us by a charming local girl student, a Socialist. She asked me point blank about my political sympathies. I declared myself, half in fun, an anarchist.

"You see, colleague, as a Pole I have to fight three tyrannical bureaucracies. I can't allow them to increase their power by nationalization of the economic life, so—long live anarchy!"

She looked at me rather doubtfully, but seeing my terribly black-red tie, gave me an excellent room: Universitätsstrasse No. 70, first floor, one franc daily.

It was now the morning of Christmas Eve. Dąbrowski brought us good news at lunch from Stephan Natanson, student of Charlottenburg. The Posen boys from German Universities had all arrived, so we now had the majority of delegates. An order had been given to all national-democrats to apply for seats at the fasting tables. The Socialists showed off their progressive ideas by applying for the meat tables. So at dinner time we were able to know who was who, and take account of our numbers.

The great hall of an hotel, the name of which has already slipped my memory, was full of young men and girls in lively discussion. They had already taken their places.

In the middle of the hall there was a great meat table and round it smaller fasting tables. Neighbours were naming to each other the people at the central table. What a lot of notoriety and authority there was. On our side the faces were young and unknown. The first place at the central table was occupied by Leon Wasilewski, Editor of "Przedświt" ("The Dawn"), chief Socialist monthly edited in London. He was a handsome man and a born leader. Next to him was one of the best radical writers, Krauss (Luśnia). Farther on were two small, thin but lively, blond men, Władysław Studnicki, already author of many economic and political books, and his brother Waclaw. Most places were occupied by heroes of the black, underground work in the country or in Russia. That oldish man was now a student of philosophy, but he had been a member of the "Proletariat" group and had thrown a bomb at the Governor General; another had been caught printing a proclamation on a secret press and had escaped from Siberia via China; yet another had instigated a strike and disturbances at the Lilpop, Rau works in Warsaw and escaped from a moving railway coach. You could fill a substantial book describing the lives and deeds of those who were seated at the head of the central table.

Nearly all the student girls at the same table had been converted to Socialism and were mostly daughters of the black Ukrainian soil, with superbly black hair, fiery black eyes, but delicate Polish complexions. Their rule had been: the richer at home, the more radical in Switzerland. They were capable of taking any risk for the cause of revolution if it appealed to their enthusiastic hearts.

Dinner was served and the noise increased. Members of the same brotherly secret organization were meeting for the first time at these tables. The boy from Kharkov University was

seated next to the till-now-unknown brother from Liège; a Moscow student was next to a mechanical engineer from Darmstadt; Leoben was next to Paris. You can imagine the avidity of the questions and the amount of curiosity awakened by the replies. The boys from across the table joined in and threw at others their criticism and jokes. Young life was churning.

A knife touched a glass. Silence. Leon Wasilewski rose and delivered a speech which, as usual, was coldly and cleverly prepared: Poland had always tried to keep a decent place in the great movements of humanity for freedom and the social progress of nations. The necessity to keep this place was always fully understood by Polish students in foreign universities. As the Editor of the leading Socialist Polish paper, he could give his assurance that the task was by no means easy, and brought great responsibilities. He hoped that the idea of a mighty world revolution for liberty and progress would be backed by the united associations, and with the same ardour as by the Polish Socialist Party in the country. He started singing "The Red Banner." All stood up, but it was the central table and few people at the other tables, who sang the chorus.

The second speech should have been made by the most important student guest, the representative of the Warsaw "Welfare." But it had been arranged that the representative of the "Library" should speak this time instead of Warsaw. Dąbrowski spoke to me across the table:

"Antek, don't be provoking!" I ought really to have said some of the usual gracious words of thanks for the invitation, but I had the feeling that all of them were longing at that moment for the country. So I spoke of Christmas at home, in the Polish village, among our own closest and dearest people. Some eyes shone, some were covered with the mist of melancholy. A perfect unity of thoughts and feelings embraced the members of two contesting parties. I finished by saying: "We all have the same chief aim, a free and independent Poland, but we are already moving forward in two separate ways. Even so we must remember that, when the day of the final battle arrives, Poland has the right to count on us all, without exception." I started "With smoke of the brands," that great hymn of Ujejski, and every living soul joined in.

Then followed one speech after another from various parts of Poland, from nearly all the universities of Europe. The most applauded was one delivered by a Lusitanian in German. (Lusitanians are the last remnants, about 400,000 in number of the West Slavs, now existing only in Saxony).

After this official dinner, late in the night the members of the "Zet" discussed at a secret meeting the tactics to be used at future meetings.

Next morning all took the train to Rapperswil. There, in the old castle rented by Count Plater and used as a Polish museum, in a silver urn, stands the heart of the dead leader of the Polish nation: Kościuszko. Both parties went to pay homage to him, and afterwards, separately, to visit the living leaders. Socialists went with Christmas wishes to Limanowski, we went to Miłkowski. On the way, memories of my childhood came back to me—the house of my grandfather Rodecki in the Carpathian hills, and the immense impression made when the "emissary" of the same Miłkowski arrived from Rumania to bring news and orders to my grandfather and his fellows.

That day I was to meet a second member of the National Government of the rising of 1863, Miłkowski. (The first was Bolesław Szwarcze, living at Lwów.) He was ill and received our good wishes in bed. When he heard that I was representing the "Library" and the "Tekka," he asked me to return for a private talk. I found him deep in thought. "I do read your paper," said the only openly known member of the "National League," "and I admit that it is on the same level as your work, but in both I see a dangerous omission. In reason-

THE DZIEDUSZYCKI MUSEUM IN LWOW

collections of coins dug up on the territory of the Commonwealth, and—the crown of this section—"the Michalkowicki treasure": the contents of a tomb discovered on the Dniester in what is today Little Poland, dating from the times when the cities of ancient Greeks were flourishing. There were articles of gold, women's ornaments, weapons and coins. In silent admiration the delicate gold work of the beads, ear-rings, armlets and bronze daggers was gazed upon by innumerable school children visiting the museum.

"Mr. Włodzimierz," with the assistance of his fellow workers drew up a catalogue "Guide to the Museum." The ornithological section was his own work. At the side of each specimen he inserted the place of origin and the name of the donor. The "Guide" went through several editions and of itself was a comprehensive handbook to an acquaintance with Polish natural history.

Next to the museum there were a series of supplementary sections. The largest collection in the country of peasant hand-woven rugs, "kilim," and a museum of Polish weapons with a beautiful set of firearms from their very beginning. Finally there was a large library numbering thirty thousand volumes and containing the first Polish printed books and a rich collection of manuscripts.

When visiting natural history museums in various parts of the world I frequently noticed that people who came to see

them looked at the specimens with more or less interest, and were either astonished or bored. Throughout the entire year numerous school children and adults passed through the halls of the Dzieduszycki Museum and all had in their eyes an expression of admiration and heartfelt emotion.

Why was this? Because this building was infused with its founder's fervent love of Poland, whole in time and extent, in its past and future generations, of Poland forming an entity composed of land, air, waters, of living beings, plants and fossils, of traces of former life hidden in its womb, of Poland whose flower is man the cultivator, from the beginning, today and in the future.

A wise, profound and creative love vivifies the objects collected in such numbers and forms of them one whole which speaks in secret words to the hearts and minds of that Poland so beloved by the founder—Fatherland and Mother.

The Dzieduszycki Museum has collected into one place that which Polish hearts love in the fragments of their own particular nooks and dazzles each one with the splendid lustre beating out from the synthesis of details forming one whole: the natural history of the Commonwealth.

Therefore the great Russian scholar and naturalist imprisoned in a Soviet jail was right when he said: "You have in Poland two things without equal in the world—the Dzieduszycki Museum and the Atlas of Romer."

ing and in your organization labours you completely fail to take into account the United States of America. You must realize that when the great war for freedom of the nations comes, no other power but the United States of America will decide the fate of Poland."

The words of the old leader made a deep impression on me then, but I must admit that this impression was quickly crowded out of my mind by other more realistic every-day considerations. Despite this astonishing prophecy of our highest living authority, neither of the two great ideological camps, Socialist and National-Democrats, worked on a large scale for the closer relationship and mutual understanding with the people of America.

After this excursion to Rapperswil, on the second day of Christmas the official meeting of the "Union" was started. The chairman and two vice-chairmen had been elected from our party (Natanson, G. Sokolnicki and Krypski) by a considerable majority. The debates were of a high standard. All arguments for and against close collaboration with the Russian students had been used and sometimes abused, but the case of Warsaw "Welfare" was won. Now the only remaining important question was what the attitude of the defeated Socialists would be. Would they agree to remain as a minority in the "Union," or would they decide to abandon the "Union," and cause a split over the ideological basis in all Polish student associations abroad?

After the official meeting, which lasted till 10 p.m., we had our "Zet" meeting, which lasted until about 1 a.m. Here all my attention was drawn to the reports from various sources about the numerical strength of the revolutionary movement in the Russian army. I made notes about all the information on one huge sheet of paper, so as to learn the data by heart before destroying it. I could indulge in this luxury. Was I not, after all, in free Switzerland?

Just as we were leaving one of our secret meetings, Natanson was handed a telegram. He opened it and remarked: "A friend of mine, a Berlin banker, sends me the news just obtained from my brother in Warsaw, that on Christmas Eve thirty people were arrested in Warsaw. He gives no names."

We left the meeting feeling extremely depressed. Walking at night in the empty University Street we discussed the news. Thirty people, might equally well be our own General Staff, or the Socialists. How could our people possibly have fallen? Was it the too rapid organizing of the national miners in Dąbrowa district that caused the arrests? Or had that old fox Zawadzki, organizing the clergy and teachers for work among the oppressed Unitarians, left some trace behind him? Quite impossible!

My lodging, as already mentioned, was on the first floor. I had no latchkey, but there was some Swiss secret gadget which meant that I had to turn something, then press something else, before the door would open. Fearfully tired, I went straight to bed.

And that night I dreamt that I was walking with my usual two friends on a dark night in the University Street. We were talking openly, and mentioned the names of those engaged in our secret work. At once I heard a loud, dreadful laughing, and turning saw the well-known, degenerate face of a Russian spy, who, in Warsaw, used to stay in front of the coffeehouse of Lourse and watch for his master who met who.

This dream woke me up and I opened my eyes. The moon was full and the room was bright with light. I saw the black shape of a man leaning over my head. The roaring of fear shook my chest and my hands automatically rushed towards the ghost. It escaped my grip just in time and flew away. I heard some loud steps and the bang of the door downstairs. I ran in my pyjamas after him, missed one of the steps and fell headlong down on the iron door. It had a secret lock and I could not remember how to open it. The steps of the fleeing man vanished in the far street. . . .

I ran back into my room. On the table were peacefully lying my valet, a gold watch with gold

chain and the reserve purse of Ada. That was not a thief! That could be only a spy! The watch showed thirty minutes past five. He had therefore plenty of time: four hours. On the table lay my big sheet of paper. There was plenty of moonlight, and I could read it easily. The writing started: "Kronstadt forces, 6 officers, 9 men; Petersburg, guards regiment number four," etc. The hair began slowly to rise on my head. He could read it and copy! Now he is running after his great reward, bringing with him death to revolutionists in the Russian army. I have caused it! There has not been a case in history of a Pole proving a traitor to the Russian revolutionists!

At breakfast I told Dąbrowski what has happened. "It is quite simple," he said, "You are bound to catch and kill him." "But, dear man, I haven't an idea what he looks like." "It does not matter. He knows how you look. Run to the station and take the fast train with the connection to St. Petersburg. When he sees you he will try to escape, then you have to shoot." "I have no Browning." "Take mine, but don't forget to burn all your papers."

I rushed to my lodging, and on the way the recollection came to me of one tragic event. A Russian girl nihilist shot dead in Switzerland an innocent merchant named Mueller, taking him for a dangerous spy. At the door of the house I saw the proprietress, the wife of a workman in the watch factory. She looked on me with a very bad eye. I asked her politely if she had noticed an unknown man watching the house. It might be a thief or a spy; he had been in my room that night.

"But what a thing mister is telling. It was neither a thief nor a spy. It was my man." Going to work in the morning he noticed that my door was not properly shut. The idea came into his mind that some stranger might be in. He tried to ascertain if I was the man who was lying in bed and "Der gnaedige Herr ha so gebruehlt wie a Loew o a Baer" and wanted to kill my husband. Happily he escaped, but could not work, came back home and is in bed still trembling. "Ha diese Polen sind alle Anarchisten!"

I took the old woman in my arms, raised her high through joy, then sat on the steps and laughed, laughed, laughed!

When I returned to the meeting I found Dąbrowski with a strangely bright face. I told him who had been in my room, and returned him the Browning. "I have learned by heart everything on the sheet and burned it." "All right, but I have got still better news for you. Do you know who were the people arrested in Warsaw?" "No. Tell me who?" "Marburg, Krzywicki, Sempelowiska and the whole progency." Again I had to fall on a chair trying to stop the outburst of laughter, so as not to interfere with the meeting. "Impossible fools these Russians! Have they let them go?" "Of course! They found nothing. Never was there anything to find."

The same day the split in the "Union" took place. The immediate cause was trivial. In "All-Poles Review" appeared a small notice describing how one of the Polish girl students, to show her revolutionary spirit, went to a Russian ball, dressed in Russian national dress and performed Russian dances. The Socialists declared that they could not possibly remain in association with the people whose leading paper offended and ridiculed the girl-students of Zurich. The command to leave the meeting was given. At that moment Studnicki jumped on the chair and shouted: "Dear cattle! Why are you going away! Remain in the Union." It was too late. The Socialists had, one after another, abandoned the hall. Studnicki left last. For him a new period of political life had started: "From Socialism to Nationalism" has been the title of one of many of his books.

With many of those boys who on that day left the "Union" I had later to co-operate heartily in the "Legions." Then the situation was reversed. A part of National-Democrats backed Russia, but the Socialists were opposed to her. But one and another group have been always toiling and fighting for Poland.